7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE





ZOFJA BATYCKA — MISS POLONIA 1930 r.

stwarza swą najnowszą i najwspanialszą kreację w realizowanym przez „Hel-Studio" znakomitym filmie „Dusze w niewoli" jako partnerka Ludwika Solskiego i Bolesława Mierzejewskiego (reż. L. Trystan).

Walka o naftę

II.

W Nr. 3-m naszego pisma postaraliśmy się oświetlić w ogólnych zarysach zagadnienie o nafcie, jako przedmiocie wytężonej walki na gruncie międzynarodowym, w której, jak rzekliśmy, prym dzierżą — Anglja (Royal Dutch Shell) i Stany Zjednoczone (Standard Oil).

Przejdziemy z kolei do zobrazowania kilku fragmentów tej walki, o doniosłości której świadczą słowa wypowiedziane przez wielkiego Clemenceau w liście do Prezydenta Wilsona: „nafta odegra w przyszłych wojnach tę samą rolę, co krew ludzka".

Bo w samej rzeczy, pomijając znaczenie nafty, jako niezbędnego czynnika w życiu gospodarczem i w technice współczesnej — a zatem i w sprawach obrony, metody walki prowadzone przez strony zainteresowane stwarzają wielce zawiłe sytuacje, zazębiające się o sprawy stosunków międzynarodowych.

Oto, naprzykład, na kilka lat przed wybuchem wojny światowej t. zw. „prospektorzy" amerykańscy odkryli w Wenezueli bogate złoża nafty. Pragnąc atoli zorganizować podstawy materjalne dla należytej eksploatacji nowych terenów, starali się zachować tajemnicę, twierdząc publicznie, iż natrafili jedynie na źródła asfaltu. Wkrótce jednak zdemaskował ich ówczesny prezydent Wenezueli, Gomez i przyśpieszył realizację tajonych planów, nadając koncesję jednemu ze swych przyjaciół, niejakiemu Vigas, który z kolei odstąpił podczas wojny światowej prawa swe koncernowi Royal Dutch. Anglicy uważali jednak za odpowiednie odroczyć eksploatację do chwili, gdy wojna będzie ukończona i ograniczyli się na razie do opracowania szczegółowego planu na przyszłość. Pragnąc ponadto upozorować przed Ameryką, iż zainteresowane tu są nietylko angielskie lub holenderskie kapitały, mianowali dyrektorem przedsiębiorstwa amerykanina, niejakiego William C Doyle'a, b. nacz. wydziału w Ministerstwie w Waszyngtonie, który w ciągu kilku lat prowadził referat Poł. Ameryki. Zaskarbienie sobie tak cennego współpracownika kosztowało nie mniej półtora miljona fr. rocznie, które Doyle otrzymywał tytułem pensji, nie licząc tantjem i gratyfikacyj. Zapewniono sobie ponadto współpracę posła holenderskiego w Caracas, której małżonka sprawowała funkcje kurjera, przewożąc w razie potrzeby, ściśle tajną korespondencję do Londynu. Tereny w Wenezueli stanowią obecnie najcenniejszą zdobycz kancernu Royal Dutch, który wybudował w pobliżu największe na świecie rafinerje. Czysty zysk, osiągnięty w ub. r. wynosił zgórą 100 milj. florenów!

Innym amerykaninem, który wybitnie odznaczył się w tej dziedzinie jest niejaki Edward L. Doheny, przyjaciel osobisty Fall'a min. spraw wewnętrzn. U. S .A., który nabył w Meksyku tereny, stanowiące t. zw. „rezerwy rządowe" (280.000 akr.) za 325.000 dol. Większa część tej sumy przypada w zysku... prezydentowi Diaz, który jednak, nie mogąc darować, iż Doheny zarabia około 1 milj dol. tygodniowo (sic!), zawarł pakt z Anglikami za pośrednictwem Lorda Crowdray'a („Mexican Eagle"), ustępując im przeszło 50% produkcji meksykańskiej.

Anglicy uzyskali ponadto mandat w Mezopotamji i Iraku, obfitujących w naftę.

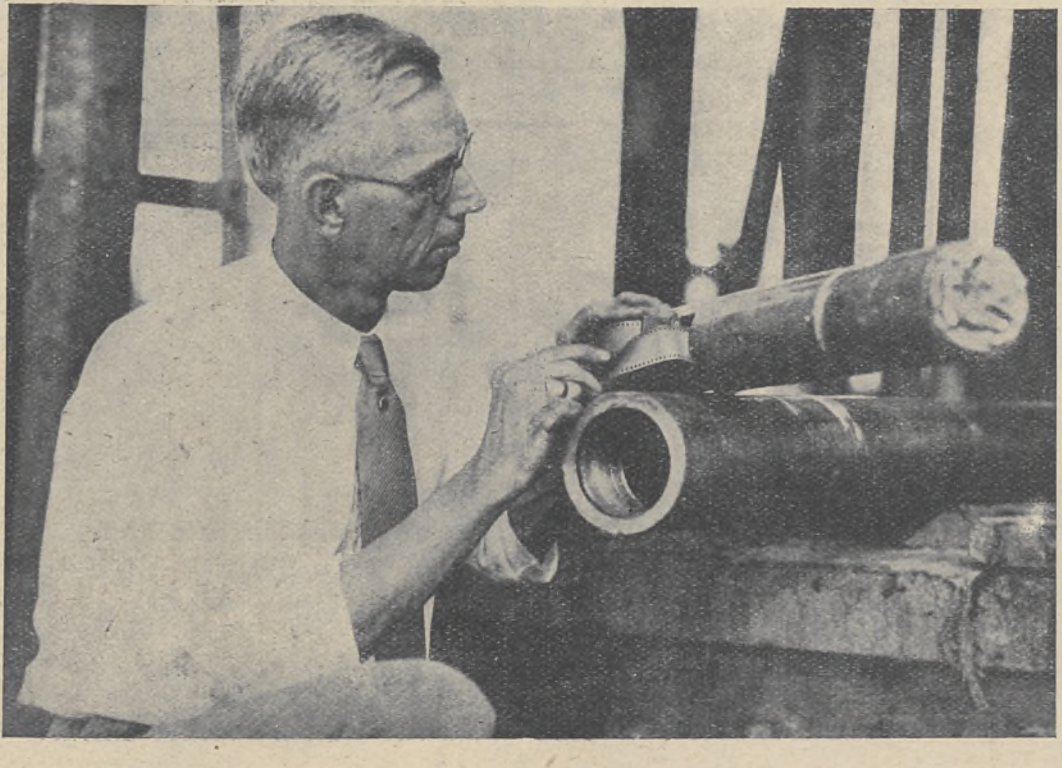
W rękach Anglików wreszcie spoczywa kontrola nad większością eksploatacji w Rumunji, a piszący te słowa, służąc podczas wojny światowej w wojskowej misji angielskiej na froncie rumuńskim, miał możność osobistego przekonania się o wpływach rządu brytyjskiego na te sprawy. Oto bowiem oficerowie angielscy, przydzieleni do misji rekrutowani byli przeważnie z pośród inżynierów, zatrudnionych w normalnym czasie w Rumunji i usiłowali za wszelką cenę uniemożliwić Niemcom, okupującym zagłębie, wyczerpywanie nafty. W tym celu głównie zorganizowano świetnie funkcjonujący wywiad, który nawet po zawarciu pokoju przez Rumunję i po wyjeździe misji aljanckich z tego kraju nie przestawał utrzymywać ścisłego, acz wielce skomplikowanego kontaktu z Londynem.

Podobne metody stosowane są zresztą i przez inne państwa. Przykładem — Stany Zjednoczone, które rozesłały do swych agend zagranicznych nast. instrukcję: „Departament Stanu zdaje sobie sprawę, iż dzięki wyczerpującym się zasobom produktów naftowych, których zapotrzebowanie wzrasta z każdym dniem i dzięki opanowywaniu rynków światowych przez Anglję — kraj nasz może być wkrótce pozbawiony tych bogactw, które stanowią, jak wiadomo, jeden z najważniejszych czynników rozwoju gospodarczego, bez którego w jednakowym stopniu mogłaby być zagrożona obrona państwa. Poleca się wobec tego, aby WP. zbierali ścisłe informacje o wszelkich zmianach, jakie zachodzą na rynkach i okazywali swą pomoc przedstawicielom kapitału amerykańskiego nawet w wypadku, jeśliby nie byli poddanymi U. S. Równolegle z akcją, podjętą przez rząd Stanów, amerykańska finansjera rozpoczyna energiczną ofensywę. Bracia Mellon (z których Andrew, sprawuje funkcje Sekretarza Stanu w Skarbie), nabywają większość akcyj koncernu „Gulf", działającego na terenie Wenezueli i Kolumbji. Towarzystwo — Richmond Oil Co, Union Oil Co z Kalifornji, Standard Oil z new Jersey i Indiana, Pantupee Oil Co i inne inwestowały w krótkim czasie w Wenezueli 175 milj. dolarów. Standard Oil Co z New Yorku, narażając się Sir Henry Deterdingowi z Royal Dutch, który nie mogąc z powodów politycznych wchodzić w układy z Sowjetami, oskarża publicznie amerykanów o handlowanie „kradzionym towarem" (serja artykułów jego pióra ukazała się nawet w amerykańskiem piśmie „Liberty"), nawiązują ścisły kontakt z Moskwą. Tranzacje te okazują się zresztą niezmiernie korzystnemi dla Stanów Zjednoczonych, przedewszystkiem z powodu olbrzymich rezerw produktów naftowych, które zabezpieczyły sobie z Rosji (96% własnych zasobów U. S. A.), jak również z powodu taniości transportu.

Współzawodnictwo o kontrolę nad samą produkcją nafty niczem nie jest w porównaniu z metodami walki o opanowanie rynków zbytu. Agenci konkurujących między sobą ugrupowań, mając na względzie chwilową nadprodukcję, (która nawiasem mówiąc, może doprowadzić do wyczerpania się złóż ropy), prowadzą zaciekłą walkę nawet w krajach, które, nie mówiąc o nieistniejącym przemyśle, nie używają nafty nawet dla oświetlania i zadawalają się prymitywnem łuczywem. Zacytujemy tu charakterystyczny wypadek, jaki miał mejsce w Mongolji, kiedy to agenci Royal Dutch'u, przygotowując teren do sprzedaży, obdarowali wprost lampami ludność, lecz zostali uprzedzeni przez przedstawicieli Standard Oil'u, którzy, pierwsi zdążyli z naftą.

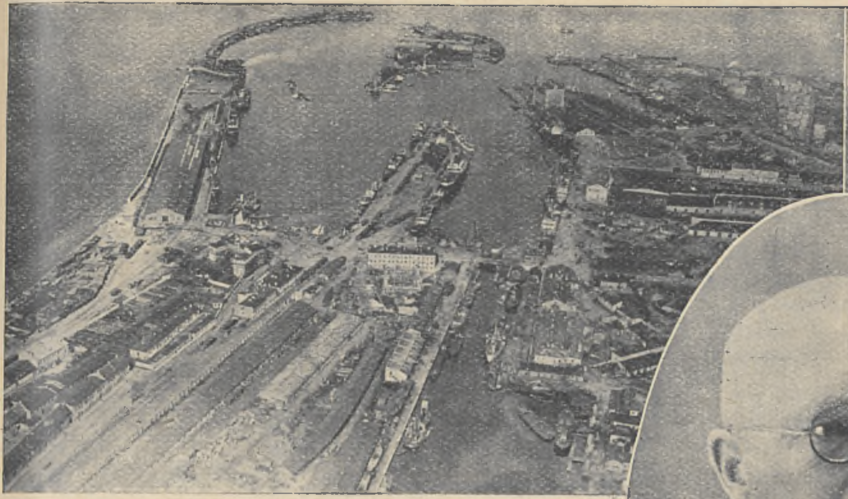
Stany Zjednoczone poza kartelami, mającemi na celu roztoczenie kontroli nad cenami, zorganizowały instytucję, której zadanie polega na prowadzeniu walki z krajami, okazującemi dążenie do usamodzielnienia swojej polityki importowej. Przykładem metody, które rozpoczęto stosować względem Hiszpanji, gdy ta, zakładając przed 2-a laty państwowy monopol naftowy, wywłaszczyła 3 potężne towarzystwa. Przezornie nabywając atoli Falcon Oil Corporation, dzierżącą w swem ręku 5% produkcji Lago Oil Corporation w Wenezueli, i posiadającą 200.000 ha terenów naftowych uniezależniła się od wwozu produktów naftowych.

Przechodząc do omówienia sprawy zaangażowania kapitału zagranicznego w naszym przemyśle naftowym, zaznaczymy przedewszystkiem, iż działania wojenne, które się rozgrywały w Zagłębiu od początku zawieruchy światowej aż do r. 1920 wpłynęły niezmiernie ujemnie na normalny rozwój eksploatacji. Ujemnym również objawem było stwierdzenie, iż posiadamy zbyt dużą ilość rafinerji (spuścizna po Austrji) przy braku materjału wiertniczego, cystern i t. p. Jeśli dodać do tego brak kredytów, niepewność sytuacji politycznej i kryzys walutowy — to jasnem się staje, iż kapitał zagraniczny niezbyt się kwapi z rozszerzeniem inwestycyj i nawet stopniowo począł się wycofywać z naszego kraju. Kapitał niemiecki („Deutsch Amerikana"— twór Standard Oil Co) i angielski wycofał się wkrótce po zakończeniu wojny, ustępuje miejsca francuskiemu i w mniejszym stopniu amerykańskiemu. W r 1928 zrealizowano koncepcję fuzjonowania przedsiębiorstw, co należy uważać za objaw wielce dodatni. Stwierdzić jednak należy, iż rozwój przemysłu naftowego, którego punkt kulminacyjny został osciągnięty w r. 1910, wykazując w następnych latach stały spadek, bynajmniej nie jest pomyślny. Zasadniczą jego chorobą jest ustawiczne opieranie się na złożach, które są na wyczerpaniu, a przez to i zasilanie zbyt licznych rafinerji zbyt małą ilością ropy, co znacznie wzmaga cenę produkcji.

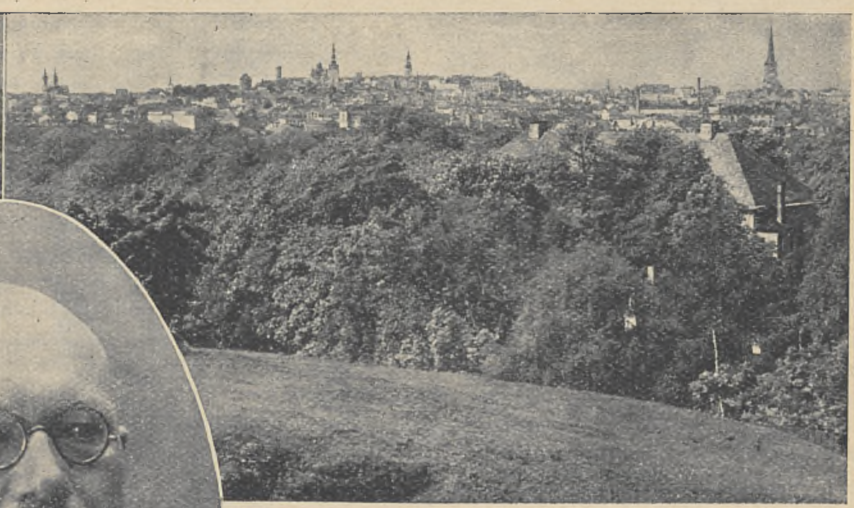


P. J. W. Petersen z Los Angelos zbudował wielce pożyteczny aparat, przy pomocy którego można dokonywać zdjęć fotograficznych w głębi szybów naftowych. Wynalazek ten ma nader doniosłe znaczenie dla wiertnictwa.

PRZYJAZD PREZYDENTA ESTONJI DO POLSKI



Widok starego portu w Tallinie.



Ogólny widok Tallina.



Naczelnik Państwa Estońskiego Dr. O. Strandmann.

Przyjazd Jego Ekscelencji Naczelnika Państwa Estońskiego, Dr. O. Strandmana, znalazł zrozumiały i żywy oddźwięk w najszerszych warstwach społeczeństwa.

Gdy chodzi o stosunki polsko - estońskie, wzajemna przyjaźń, wzajemna harmonja polityczna, trzydziesto - miljonowej Polski, rozsiadłej na terenie 388 tys. kw. kilometrów, a sięgających w przeszłości, w dniach rozkwitu terytorjalnego, miljona blisko kw. klm., do miljonowej zgórą Estonji, władającej 48-u tys. kw. klm., obraca się i tkwi mocno w obu płaszczyznach: w płaszczyźnie interesu i w płaszczyźnie uczucia.

Geograficzne i polityczne położenie Polski sprawia nieodwołalnie, iż posiada ona specjalną sferę zainteresowań nad morzem Bałtyckiem. Powstanie szeregu niewielkich państw samodzielnych, jak Finlandja, Estonja i Łotwa, nie przeczy w niczem zadaniom Polski na wschodzie Europy i nie koliduje pod żadnym względem z jej interesami, obciążając ją jednak, w imię polskiej racji stanu, obowiązkiem bezwzględnego popierania i podtrzymywania ich niepodległości i suwerenności.

Wystarczy spojrzeć na mapę, aby się przekonać, jak śmiertelnym niebezpieczeństwem grozi Polsce opanowanie w tej czy innej formie państw bałtyckich przez potęgę morską, która w ten sposób podałaby ręce Niemcom, obejmując państwo polskie żelazną obręczą niemiecko - rosyjską.

Poza względami temi jeszcze racja stanu Polski wymaga od niej, by dbała o równowagę i poszanowanie praw narodów na wschodzie Europy, a stąd wypływa naturalny i przyrodzony nasz obowiązek, chronienia i podtrzymywania niepodległości państw bałtyckich.

Zrozumienie roli Polski na wschodzie Europy cechuje politykę estońską. Można cytować szereg przykładów, gdy Estonja — a leżało to zawsze w jej dobrze zrozumianym interesie, acz niejednokrotnie groziło jej to poważnemi komplikacjami — stawała wiernie przy boku Polski w obliczu zawikłań politycznych. Wśród zaprzyjaźnionych państw, liczących się uczuciowo i politycznie z walorem i wagą Polski, z jej rolą w Europie, Estonja należy do najbardziej szczerze przyjaznych, do tych, na które liczyć możemy najpewniej. A podkreśliłem już wyżej, że mimo małą liczebność estońskiego narodu, jest to naród wielki, wielki cechami charakteru, walecznością swych synów i talentami państwowo - twórczemi, jest to państwo posiadające, dzięki swemu położeniu geograficznemu, duże znaczenie polityczne.

Świadomość wszystkiego powyższego, przenika coraz bardziej do psychiki społeczeństwa polskiego, które widzi w Estonji swą wierną przyjaciółkę, która coraz gorętszą, coraz żywszą przyjaźń odczuwa dla Estonji.

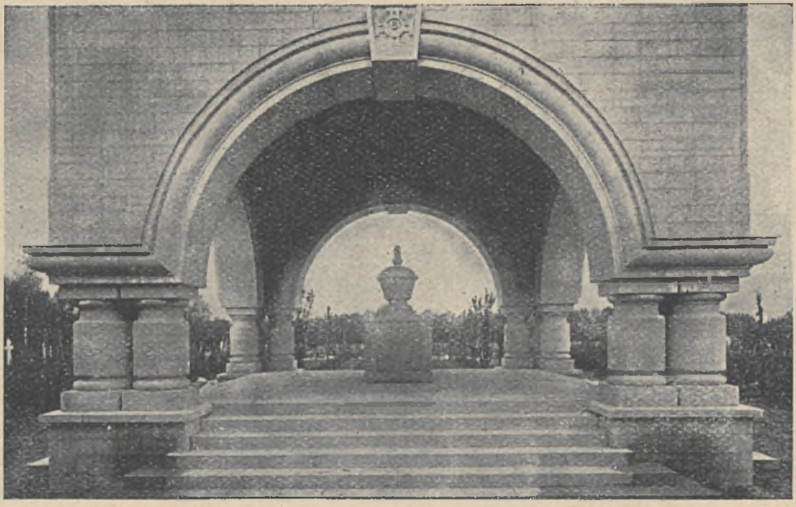
Wizyta Naczelnika Państwa Estońskiego jest nowym, jednym jeszcze, dowodem zacieśniających się więzów między obu państwami. Jego Ekscelencja Dr. O. Strandman może być pewny, iż przyjęcie będzie nacechowane tą wielką serdecznością, jaka istnieje i rośnie w społeczeństwie polskiem, gdy chodzi o naszą siostrę Estonję.

Niech żyje Estonja!

Władysław Ludwik Evert

Prezes Zarządu

T-wa Polsko-Estońskiego.



Tallin. Grób Nieznanego Żołnierza.



Tallin. Widok starych fortyfikacyj.



Min. Spr. Zagranicznych, J. Lattik.



Tallin. Fragment murów z XIV wieku.

Co słychać na świecie

Źródło emocji politycznych ubiegłego tygodnia wytrysło w Hiszpanji. Upadł dyktator, ale czy upadła dyktatura- — oto zagadnienie najbardziej interesujące Europę. Niewątpliwie, system stworzony przed sześciu laty przez generała Primo de Rivera, przyniósł Hiszpanji poważne korzyści. Przed 13 września 1923 roku Hiszpanję trawiła niemoc. Pustki w skarbie, wrzenie tłumów na ulicy, niemoc i rozprężenie w administracji. Gdy Primo de Rivera, wówczas dowódca okręgu katalońskiego wydał swój sławny manifest wzywający króla w imieniu armji do rozwiązania rządu, gabinet Gurcia Prieto zachwiał się i znikł, jak zmieciony tchnieniem samumu. Primo de Rivera stworzył dyktaturę wojskową, ale popełnił błąd zasadniczy: zapowiedział jej trwanie na trzy miesiące. Trzy miesiące miały wystarczyć na przeorganizowanie administracji, zapełnienie skarbu, reformę konstytucji, opanowanie „junt" wojskowych, zlikwidowanie sprawy marokańskiej. Było to pierwsze złudzenie ofiarowane narodowi. Upłynął rok i Primo de Rivera, daleki od wypełnienia swego programu, zapragnął stabilizacji stworzonego przez siebie ustroju, a nadaniem mu charakteru dyktatury cywilnej, stworzenia pozorów poparcia przez opinję publiczną. Pozostała partja, nie partja, która rzekomo objęła rządy, powstał parlament, nie parlament, owo zgromadzenie narodowe, z głosem doradczym, bez prawa zaciążenia na decyzjach rządu. Zaczęły się rządy „cywilne", które przetrwały pięć lat zgórą.

Primo de Rivera przywrócił bezpieczeństwo i porządek w kraju, podreperował skarb, podniósł prestige Hiszpanji na terenie międzynarodowym —exemplum: sprawa jej udziału w Radzie Ligi Narodów, wyprowadził Hiszpanję z odosobnienia politycznego, zacieśnił stosunki przyjazne z Włochami i Francją, zlikwidował wrzenie w Marokku i awantury Abd el Krima w Riffie, ale władza jego się zużyła. Nie stało jej dla rozwiązania innych problemów państwowych, opanowania kryzysu ekonomicznego, ducha oporu w armji, niezadowolenia opinji publicznej. Trzeba uznać jednak, że gen. Primo de Rivera okazał wiele zmysłu politycznego, ustępując właśnie w chwili, w której trzymanie się uporczywe przy władzy mogło wystawić Hiszpanię na nowe wstrząsy. Ustąpił, oddając władzę generałowi Berenguer, który jest zagadką polityczną; niewiadomo, czy nowy władca Hiszpanji utrzyma mutatis mutandis system swego poprzednika, czy też zechce wejść na tory liberalne i konstytucyjne. Na tę ostatnią tendencję wskazuje fakt kooptowania do pracy rządowej osobistości konserwatywnych.

Izobara wolności politycznych przechodzi przez półwysep iberyjski i sięga Indji Wschodnich, gdzie znajduje się obecnie punkt najwyższego ciśnienia, mówiąc językiem meteorologów. Fakt ten wprawia umysły hinduskie w stan zrozumiałego podniecenia. Hindusi nie chcą już praw dominialnych, nie chcą realizacji obietnic lorda Irwina, chcą tylko i poprostu wolności i niepodległości. Po uchwałach rewolucyjnych w Lahorze przyszedł dzień protestu, narazie w postaci manifestacji przeciw administracji angielskiej. Nie byłoby w tem jeszcze nic strasznego, boć ostatecznie administracji angielskie nie nowina i nie pierwszyzna demonstracje i protesty, ale kryją się w tych przejawach gorsze momenty. W wyzwoleńczym ruchu hinduskim niema jedności. Między przywódcami, a tłumem zaczyna zarysowywać się rozłam. Tłumom przestają wystarczać hasła Gandi'ego, ideał niepodległości Indji, zaczynają je pociągać ułudy komunizmu. Widać w tem lwi pazur władców Kremlu. Rozruchy w Indjach stanowią cenne uzupełnienie uroczystych aktów i przyrzeczeń nie mieszania się do spraw wewnętrznych drugiej strony złożonych niedawno w Londynie z okazji nawiązania stosunków dyplomatycznych sowiecko-angielskich.

Rząd Sowietów ma długą rękę. Sięga nią do Kantonu, Bombaju, Kalkuty, sięga i do Paryża. W Paryżu pewnej pięknej niedzieli zaginął całkiem poprostu i zwyczajnie, ale za to bez śladu jeden z głównych przywódców emigracji rosyjskiej, gen. Kutiepow, który swemi zakusami organizowania antybolszewickich żywiołów, zaczynał być niewygodny dla czerwonych władców Rosji. Gen. Kutiepow zaginął w drodze z domu do cerkwi, policja paryska znaleść jego śladów nie może, a opinja publiczna przypisuje jednomyślnie prestidigitatorski figiel organizacji G. P. U. na terenie paryskim.

Za to Polska wytrwale podkreśla swe pokojowe intencje i chęć przyjaznej współpracy ze wszystkimi szczerymi partnerami. W stosunkach polsko - niemieckich zaszedł nowy fakt drobnej wagi, ale znamienny dla ogólnej tendencji wyrównania stosunków gospodarczych. Zawarta została umowa o sprzedaż znacznej ilości rezerwowego zboża polskiego po cenie wyższej od norm wewnętrznych, co stanowić ma wstęp do podziału między Polską a Niemcami rynków północnych i wspólnego ich opanowania.

Dr. J. G.



Mimo szczególne ożywienie cechujące konferencję morską, debaty są zbyt uciążliwe, by delegaci mogli uważać pobyt swój w Londynie za przyjemny. Jedyną atrakcją, jak donoszą pisma, są bankiety, na których rej wodzi niezmordowany premjer francuski, Tardieu. Na fotografji naszej widzimy premjera Tardieu obok Mac Donalda i italskiego delegata Grandi'ego.



„Stan naszych finansów —oświadcza min. Chéron — wykazuje stałą poprawę". Czy jednak pomimo to nie będzie potrzebna pomoc Poincaré'go.



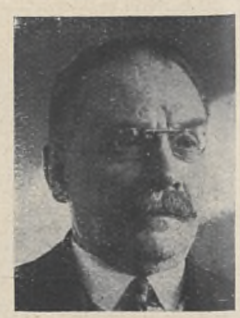
Ostatnia fotografja rosyjskiego generała, Kutiepowa, którego tajemnicze zniknięcie z Paryża budzi łatwo zrozumiałą sensację.



W ostatnich dniach ub. mies. przybył do Warszawy nowy szef misji morskiej, komandor Ceillier, który objął to stanowisko po kom. Richard.



Na miejsce b. wojewody grodzkiego w Warszawie p. Jaroszewicza, komisarzem rządu mianowany został p. Henryk Kawecki.



P. Stanisław Giżycki został mianowany gen. komisarzem wyborczym na miejsce b. ministra St. Cara, który zamierza powrócić do adwokatury.



Japoński książe Higashikuni, b. dowódca 3 p. p. gwardji cesarskiej żegna się ze swymi kolegami i żołnierzami z powodu objęcia wyższego stanowiska w randze generała.



Uroczystość dekorowania zasłużonego żołnierza francuskiego Generała Felineau na podwórzu Pałacu Inwalidów w Paryżu przez Generała Gouraud.



Król bułgarski, Borys zaręczył się podczas pobytu swego z okazji ślubu następcy tronu italskiego w Rzymie z W. Ks. Kirą, córką pretendenta do tronu rosyjskiego, W. Ks. Cyryla.

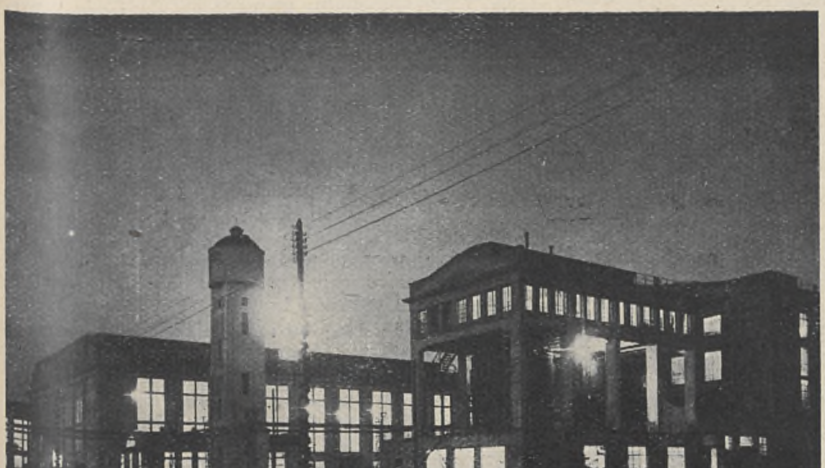


Karykatura francuskiego artysty Cabrola, wyobrażająca jednego z najruchliwszych delegatów na konferencję morską, Grandi'ego reprezentującego interesy Italji.

Ze względu na brak miejsca fotografje nagrodzonych dzieci w konkursie „Najpiękniejsze Dziecko Polskie" podamy w następnym numerze.



Narzeczona Króla bułgarskiego, W. Ks. Kira w otoczeniu rodziny podczas wizyty, jaką im złożyła w ub. roku Królowa Marja Rumuńska w rezydencji książęcej w St. Briac (Bretanja).





Ogólny widok fabryki związków azotowych w Mościcach, która została wybudowana według projektu p. Prezydenta Rzplitej, prof. Ignacego Mościckiego. (fot. Photoplat.)

ST. OSIŃSKA.

Wielki szlem

— Dwa piki.

— Pas.

— Naturalnie! Pan nic innego nie potrafi! Pas i pas — irytował się profesor Zygmunt Zdański.

— Ależ panie profesorze... — zaczął doktór Władysław Ramocki.

— „Panie profesorze, panie profesorze", a dobrych kart to pan nigdy nie może mieć.

— Kogo kochają piękne kobiety, tego nie mogą miłować papierowe królowe — zamruczał inżynier Majski.

Profesor spojrzał z ukosa na mówiącego, poczem przeniósł wzrok na zmięszanego młodego lekarza.

Szczęście w miłości! Głupi smarkacz! Chce mierzyć się z nim, profesorem Zdańskim! Cóż mu się zdaje, że pani Alina będzie wolała mierne dochody ledwo co upieczonego lekarza, niż majątek stołecznej sławy? Pozycja społeczna w życiu kobiety też coś znaczy! Być żoną szanowanego i znanego profesora, to co innego, niż jakiegoś tam smarkacza, doktorka, który nie tak dawno pożegnał się z czapką korporacyjną!

Prawda, pani Alina posiada duży osobisty majątek, który odziedziczyła po zmarłym mężu, ale... ziarnko do ziarnka, a będzie miarka...

Prawda, że ta nieszczęsna profesorska łysina, chociaż niby misternie zaczesana, jednakże prześwieca w niektórych miejscach. I corocznie musi jeździć do Karlsbadu, gdyż coś tam... tego... z wątrobą nie w porządku... Tych przyjemności Ramocki nie posiada. Oj młodość, złota młodość! Ale czyż można porównać jego wspaniałe mieszkanie z jakimś mizernym pokoikiem „przy rodzinie" tego smarkacza, Ramockiego?

— Niemożliwi są ci bridgiści — zawołała, wchodząc do gabinetu pani Alina. — Kłócą się ciągle, kłócą i zapominają, że godzina już późna i że my wszyscy czekamy z kolacją! Proszę coprędzej odłożyć karty!

— Jeszcze chwileczkę, pani Alinko — prosił Zdański i niktby nie przypuszczał, że w tak ostrym i zgryźliwym głosie, kryją się ciepłe i miłe tony.

Ale pani Alina uśmiechnęła się tylko i ruchem pewnej swej urody kobiety, nie znoszącej niczyjego oporu, położyła białą rękę na zielonem suknie.

— Ani chwileczki! — zawołała, śmiejąc się. — Kolacja czekać nie może!

— Ani pani — dodał półgłosem Ramocki.

Zdański obrzucił mówiącego nieprzyjaznem spojrzeniem, ale zaraz podał ramię pani Alinie.

— Służę pani — rzekł uprzejmie.

Przechodząc z gabinetu do jadalni, pani Alina uśmiechnęła się do młodego lekarza, który przyjął jej uśmiech jak dawno oczekiwaną i bardzo pożądaną jałmużnę.

— Moja cudna, kochana — posyłał jej swoje wszystkie myśli przez szeroki stół w jadalnym pokoju.

Podobała mu się bardzo. Jakże dobrze się czuł w jej zbytkownie urządzonem mieszkaniu! Często siedząc przed kominkiem w jej zacisznym buduarze, patrzał na wesołe pląsy złotych płomieni marzył o chwili, w której ta piękna, strojna kobieta należeć będzie nareszcie niepodzielnie do niego. Obawiał się konkurencji protesora Zdańskiego, któremu również podobała się śliczna wdówka, ale nadzieja jasnemi weselnemi barwami malowała przyszłość.

— O czem pan myśli, panie Władku? — zapytała nagle pani Alina.

— O tobie myślę ukochana — odpowiedziały oczy Ramockiego.

— Pewnie tęskni za kimś nieobecnym — uśmiechnął się ironicznie profesor.

— Czyżby panie Władku? — w głosie pani Aliny zabrzmiała nuta niepokoju.

— Napewno nie! — roześmiał się Ramocki, który najchętniej spoliczkowałby Zdańskiego. — Wszystkie moje myśli koncentrują się w tym pokoju.

— Ktoby wam mężczyznom wierzył! — śmiała się pani Alina.

— Ale śliczna pani nie wierzy w to co mówi? — szepnął doktór, całując po kolacji gospodynię w rękę.

— Wierzę, wierzę — przekomarzała się.

— No, prędzej, panowie, karty czekają! — niecierpliwił się Zdański, widząc swego rywala przy boku pani Aliny.

— Bardzo proszę zapomnieć na chwilę o obowiązkach pani domu, usiąść przy mnie i przynieść mi trochę szczęścia, chociażby w kartach — prosił półgłosem Ramocki, udając, że nie słyszy zniecierpliwionego głosu profesora.

— Ja? Ależ panie Władku, ja się zupełnie nie znam na kartach. Wiem tylko, że dama pikowa oznacza w kabale plotkarkę!

— A tak się biedaczka poświęca i pozwala nam zajmować się temi papierowemi kobietami!

— Widocznie wolicie je panowie od żywych! — śmiała się zalotnie.

— Już chyba nie ja — westchnął Ramocki. — Ale pani wie, że muszę liczyć się i poniekąd ustępować Zdańskiemu. Czasami mam wrażenie, że mnie nie lubi i doprawdy nie rozumiem czemu mnie darzy taką pozorną przyjaźnią.

— Współzawodnictwo — pomyślała młoda kobieta z zadowoleniem, ale głośno powiedziała:

— Niezbadane są tajniki męzkich serc!

— Niedobra, kpi ze mnie — skarżył się Ramocki.

— Ale skąd — śmiała się pani Alina. — Jednakże profesor i...

— ...ledwo co upieczony doktór, zależny całkowicie od powagi stołecznej — dokończył smutnie.

— Czy ustąpiłby mu pan we wszystkiem? — zapytała cicho, wchodząc razem z Ramockim do gabinetu.

— Nigdy, przenigdy — przycisnął lekko jej ramię.

Profesor Zdański rzucił młodemu lekarzowi nienawistne spojrzenie.

— Czekamy, rzekł zimno.

Rywalizacja obu lekarzy bawiła z początku panią Alinę. Kiedy zaczęła jednakże poważnie myśleć o obu zakochanych w niej mężczyznach, dochodziła do przekonania, że bardziej odpowiada jej poważny, stateczny profesor Zdański, niż młodszy od niej doktór Ramocki. Tembardziej, że była przyzwyczajona do dobrobytu, którego nie traciła w razie pójścia za mąż, za sławnego profesora. A cóż czekało ją we wspólnem życiu z Ramockim?

Złocona nędza!

Bała się jej trochę. Wiedziała, że z chwilą ponownego wyjścia za mąż, musi się pożegnać z wygodnem życiem. Mąż jej bowiem, był o nią do tego stopnia zazdrosny, że nawet umierając ograniczył jej swobodę. Sporządził testament, mocą którego wdowa traciła prawo do majątku z chwilą ponownego wstąpienia w związek małżeński.

Tak wyglądała zazdrość pozagrobowa!

Ale czuła, że łatwo może pokochać młodego, jasnowłosego doktora. Wiedziała, że jest od niego starszą, że ta promienna, gorąca miłość, którą jej okazuje, długo trwać nie może, że za kilka lat spodobają mu się młodsze, ładniejsze...

Westchnęła. Jedyny szczery przyjaciel kobiety, zwierciadło, mówił jej, że oczy są jeszcze błyszczące i cera świeża w łagodnem oświetleniu różowej ampli. Ale cieniutka sieć zmarszczek w kącikach oczu nie wróży nic dobrego. Szczególniej, jeśli je pieści gorące, letnie słońce... Kibić pełna, robi jednakże wrażenie smukłej, ale kosztem ilu zabiegów...

Tak. Ale Władek tego wszystkiego nie widzi. Kocha ją. Taką jak jest. I byleby tylko wyciągnął rękę, padnie w jego ramiona, niby dojrzały owoc...

Ejże, chyba nie...

Bo oto z mroku niepewności wyłania się silna, energiczna postać Zygmunta Zdańskiego. Żadnych trosk materjalnych, żadnych obaw. Nie lęka się drobniutkiej siateczki zmarszczek, która jest pierwszym zwiastunem smutnej jesieni w życiu kobiety... Jest od niej przecież starszy! Kocha ją owem poważnem, stałem uczuciem, niepodobnem do wybuchów lekkiej, beztroskiej młodości.

Pokocha go. Napewno. Chociaż podwaliną uczucia będzie wdzięczność tylko i szacunek. Ale to są mocne fundamenty, trwalsze od zaklęć i pocałunków w noc majową, skąpaną w srebrnej poświacie księżyca. Niech tylko wyciągnie rękę, a... Jednakże czerwone usta Władka...

Co począć? Na co się zdecydować?

Przed chwilą telefonował profesor, prosząc o chwilę rozmowy, a wspomnienie ostatniej wizyty Władka nie opuszcza jej ani na chwilę, pali jej usta, policzki, oczy... Pamięta każde jego słowo, każdy ruch...

— Śliczna moja, wymarzona — szeptał Władek, tuląc w ramionach Alinę, — nikt cię tak jak ja kochać nie będzie. Bądź moją, moją na zawsze!

— Kochasz? — pytała, zapominając o testamencie, o smutnym zwiastunie jesieni, o Zdańskim, całkowicie pochłonięta narodzinami miłości.

— Kocham — uśmiechnął się nie widząc drobnej siateczki zmarszczek w kącikach oczów.

— I nigdy nie przestaniesz?

— Zasłoniłaś mi świat cały, bez ciebie każda godzina zda mi się być wiecznością — przysięgał mężczyzna, wierząc w danej chwili w prawdę swoich słów i odrzucając z oburzeniem natrętną myśl o kosztownej oprawie kochanej kobiety.

Wierzyła Władkowi i była szczęśliwą, gdyż największem szczęściem jest wierzyć w to, czego się bardzo pragnie. Ale zawahała się. Podświadomy lęk wkradł się nagle do jej serca, studząc dotknięciem zimnych kleszczy beztroską radość.

— Testament!...

Więc prosiła o parę dni do namysłu i kazała odejść rozkochanemu chłopcu.

I w takiej chwili rozterki telefon Zdańskiego...

— Może i lepiej? — myślała. — To wszystko nie ma sensu. W moim wieku nie wolno żyć tylko samem uczuciem.

— Pani Alino — mówił Zdański. — Znam panią nie od dzisiaj, nauczyłem się cenić ją, szanować i kochać. Myślałem o pani bardzo wiele i dzisiaj z całą pewnością twierdzę, że jesteś dla mnie wszystkiem, wymarzoną towarzyszką życia. Proszę mi tylko zaufać, a nie zawiedzie się pani.

(Dokończenie na str. 21.)

(fot. Universal.)



— I nigdy nie przestaniesz kochać?...


Wypielęgnowane ręce
mimo śniegu i mrozu można mieć, używając stale kremów Elida.
ELIDA
KREM
Co godzinę
Nie zatłuszczający
ELIDA
COLDCREAM
CITRON
Na dzień krem Elida Co Godzinę – chroni cerę od wiatru i ostrego powietrza. Wnika całkowicie w skórę i nadaje jej gładkość i świeżość.
Na noc Coldcream Elida – oczyszcza i ożywia skórę, leczy opierzchnięcia.
ELIDA
WARSZAWA
KREMY ELIDA



MAURICE DEKOBRA.

W KRAINIE MAHARADŻÓW

W MROKACH ZENANY

Copyright by Agence Litteraire Internationale, Paris.

Państwo Jajpuru zostało założone w XVIII stuleciu. Obecni maharadżowie Jajpuru rezydują w przepięknym pałacu Amber. Chcąc go zwiedzić prosiłem jednego z moich przyjaciół by mnie tam wprowadził.

Po dwunastu kilometrach drogi wysadzanej kaktusami i usianej małemi kapliczkami, wielkości, conajmniej, psich bud, wjechaliśmy do wąwozu, wciśniętego pomiędzy dwoma nagiemi wzgórzami. Wąwóz ten był zamknięty rodzajem bramy, zbudowanej z wysokiego, kamiennego muru, przypominającego słynny mur chiński, wdzierającego się we wszystkie nieomal zagłębienia terenu.

Po jakimś czasie, wąwóz rozszerzył się, aż wreszcie ujrzeliśmy, nad brzegiem urwistej płaszczyzny, pałac Amber, który, wyolbrzymiony swą obecnością w tem pustkowiu, robił wrażenie jakiegoś Escurialu egzotycznego władcy.

Wsiedliśmy na przygotowanego słonia i zaczęliśmy się wdrapywać na górę.

Po przybyciu na miejsce nasz przewodnik, *mahout*, pomógł nam zejść przy pomocy drabiny. Znaleźliśmy się wreszcie w tym starożytnym opuszczonym pałacu, strzeżonym przez oddział żołnierzy z gwardji jajpurskiej, o siwych brodach, wystrojonych w jakieś szczątki, przypominające mundury, a jednak groźnie wyglądających z bagnetami na karabinach.

Jedną z osobliwości Amber stanowią malutkie salki, obwieszone tysiącami wypukłych lusterek, oprawnych w ołów, otoczonych kolorowym gipsem, który tworzy piękne motomy dekoracyjne na kopułach maurytańskich. Lusterka te zamglone odktóry tworzy piękne wzory dekoracyjne na końcu tysięcy duchów, którym wtargnięcie intruzów przerwało ich wiekową zadumę.

Jednakże, jeżeli chodzi o mnie, bardziej byłem ciekaw widoku *zenany*, aniżeli czaru tchnącego z tych starożytnych zwierciadeł. Ażeby się dostać do haremu dawnych maharadżów należało wpierw przedostać się przez wewnętrzny podwórzec ozdobione basenem, obecnie wyschłym, wspiąć się poprzez strome lub spiralne krużganki aż wreszcie dostać się do olbrzymiej galerji, zamkniętej przez wysokie mury, w których, tu i ówdzie, znajdowały się otwory do przepuszczania powietrza. Cóż to za okropne więzienie! Jednakże mało do pozazdroszczenia, życie pędziło tutaj kiedyś te trzysta czy czterysta kobiet, uwięzionych i skazanych na egzystencję w murowanej klatce, pozbawionych widoku pogodnego nieba i otwartej przestrzeni, otoczonych strażą uzbrojoną w jatagany.

Komnaty owych „szczęśliwych" wybranek posiadały otwory, przez które mogłaby się przedostać jedynie pszczoła, a które miały służyć do obserwacji błękitu nieba. Niczyje natomiast oko niemogło zajrzeć do wnętrza klatki. W milczeniu przekraczałem drzwi, przez które wyprowadzano na śmierć kobiety popadające w niełaskę, lub te, które się znudziły wybrednemu księciu.

*

Gdy doszedłem wreszcie do pałacyku, przeznaczonego ongiś dla faworyty satrapy, słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Szary mrok zapełniał wąwóz a Mars zabłysnął na niebie, zwiastując ukazanie się innych gwiazd. Zacząłem rozmyślać o pięknych Rajputankach, tęskniących do swych stron rodzinnych, które, może w tem samem miejscu, wzdychały samotnie i powierzały swoje smutki i rozpacz mrugającym gwiazdom.

Na małem podwóreczku, otoczonem kolumnami — basen, którego brzegi, wyciosane z różowego marmuru, oraz stopnie prowadzące wgłąb pokryte były grubą warstwą pyłu. Minione stulecia, pokryły patyną starości malutki ogródek, w którym pachnące rośliny i kwiecie dawały chwile przyjemności pięknym niewolnicom. Zdawało mi się, że je widzę, jak, nachylone na przezroczystą wodą, bawią się, niczem małe dzieci, oglądaniem ewolucyj oswojonych gołębi. Wyobraziłem sobie ich próżniacze życie, życie pięknych zwierząt, przeznaczonych do miłości, przeznaczonych do zabawy i śmiechu, do ukrywania swych zazdrości i do przestrzegania żelaznej dyscypliny, która wszechwładnie panowała w *zenanie;* a jeśli nie, to ginęła, pewnego pięknego poranku, sama nie wiedząc kiedy. Czekała ją śmierć z rąk ludzi, nieznających uczucia litości; śmierć, o której szeptały pomiędzy sobą pozostałe małżonki, rade z tego, że się pozbyły w ten sposób jednej konkurentki.

Czyż to nie było naprawdę okropne?

Żony maharadżów dzisiejszych wiodą tryb życia, podobny do tego, jakie wiodły ich prababki za czasów *zenany*. Nie giną coprawda z rąk oprawców, ponieważ obyczaje, pod wpływem kultury zachodniej złagodniały i również dlatego, że niema owych dawnych władców, będących panami życia i śmierci, którzy, gdy byli czemś rozdrażnieni, skazywali swe żony na rzeź, niczem barany. Ale, kiedy wydalą się ze swych prywatnych rezydencyj, zostają natychmiast pochwycone i zamykane do małych klatek na wózkach. Robi to wrażenie więzienia na kółkach.

Kobiety te wychowane na wzór swych matek i posłuszne przepisom panującej religji zdradzają często ruchliwość, pragnienie samodzielności i zarażają się szybko agitacją feministyczną od swych sióstr z zachodu. Zarażają się tem aż do śmieszności.

Wiele kobiet, które są bardziej pieszczone od naszych, przez nas, wulgarnych samców, są bardziej zrozumiałe i przystępne w swych *purdahach*. Przeważnie się zdarza, że te kobiety, których los nas tak przeraża, są naogół szczęśliwe i spokojne. Przyszłość Indyj? Zagadnienia socjalne? Zwycięstwo intelektualne kobiety? Ach! To są dla nich zbędne i niezrozumiałe frazesy.

*

Zapadła cicha i spokojna noc. Powracając do miasta mrugającego światełkami na stoku wzgórza, przejeżdżaliśmy obok jakiejś zrujnowanej świątyni. Kapłan, stojąc na wysokim balkonie, wzywał wiernych na modlitwę, uderzając w gong. Gdzieś wyżej, wśród ciemno - granatowych wzgórz, błysnął płomień przed inną świątynią, a daleki głos odpowiedział na pierwsze wezwanie. Później trzeci. Słuchaliśmy tej dziwnej litanji, śpiewanej na trzy głosy, niewidzialnych kapłanów i oddaliliśmy się z żalem od tego nigdy niezapomnianego miejsca.

W chwili, gdy wsiadaliśmy do automobilu zameldował nam szofer, że jeden z mieszkańców miasta zawiadomił go o tygrysie, który grasował w tej okolicy. Oświadczyłem na to memu przyjacielowi, że widocznie szofer chce swojem opowiadaniem dodać trochę kolorytu do tylko co oglądanych widoków i wzbudzić dreszczyk u obcego podróżnika. Ale mój towarzysz natychmiast rozproszył mój sceptycyzm i powiedział:

— Zdarzają się bardzo często trygrysy o dziesięć lub piętnaście mil od Jajpur... *Shikarisi* maharadży coś o tem wiedzą!

Już przebyliśmy około trzech mil, gdy nagle, ujrzałem na skraju drogi dwoje oczu, błyszczących w ciemności. Schwyciłem mego przyjaciela za rękę. Przyjrzawszy się uważnie zauważył:

— O! to jest tylko młody byczek. Jego oczy mocno błyszczą i straszą nieraz spokojnych podróżnych!

A zatem mój tygrys okazał się wołem. Mniejsza z tem. Jeszcze jedno złudzenie, które uleciało i skryło się pomiędzy martwemi wzgórzami.

Wyprawa Byrda w lodach Antarktyku






Członkowie wyprawy antarktycznej: Komandor Ryszard Byrd, Harold June, Ashley Mckinley i Bernt Balchen.

Z lodowych pustyń Antarktydy fale eteru przyniosły władzom amerykańskim prośbę Komandora Byrd'a o pomoc w opresji: okręty ekspedycji zostały uwięzione wśród nieobjętych okiem lodów długiej zimy polarnej.

Ląd Antarktydy obejmuje rozciągłe przestrzenie po obu stronach południowego kręgu polarnego. Przestrzenie te, obliczone na kilkanaście miljonów kilometrów kwadratowych, w znakomitej większości przedstawiają bezludne pola lodowe, rzadko przerywane „tundrą" z jej roślinnością suchotniczą.

Niezamieszkałe te obszary są zbadane mniej, lub więcej dokładnie przez badaczów europejskich i amerykańskich zaledwie w nieznacznej swej części. Tutaj należą wybrzeża Ziemi Wiktorji i Wilkesa, oddzielone od siebie morzem Ross'a.

Nieznanym zupełnie jest półwysep Antarktydy zachodniej, wyspy, i Ziemie Auitpolda, i Euderly.

Cały ląd Antarktydy jest wyżyną, przeciętą pasmem gór, dochodzących do 4.500 metrów wysokości,i obfituje w wulkany czynne i wygasłe.

Komandor Byrd w swoich poprzednich komunikatach radjowych oznajmiał o szczęśliwem posuwaniu się po trudnych szlakach polarnych.

Z nastaniem długich i ciemnych miesięcy zimowych ekspedycję spotkał los zwykły w tych niegościnnych stronach: zupełne zamknięcie drogi, ze wszystkich stron za pomocą lodu, którego grubość wynosi w tym okresie nie mniej od 4 metrów.

Należy dodać, że ekspedycja Byrd'a jest wyjątkowo zaopatrzona w prowianty i wszystkie rzeczy, umożliwiające załodze bardzo długi pobyt wśród lodów.

Jak wiadomo ekspedycja ta, kosztowała około miljona dolarów, i nosiła charakter narodowy, gdyż cała suma była zebrana w Ameryce w gotowiźnie lub materjałach ofiarowanych przez obywateli amerykańskich.

Dary w naturze przedstawiają się wprost imponująco.

H. Ford ofiarował całe urządzenie statków,



Zew krwi.

„The Radio Corporation" — instalacje i aparaty radjowe, i t. p.

W pewnych wypadkach firmy zainteresowane zdobywały się na specjalną inwencję, w przygotowaniu się do warunków ekspedycji Np. znana firma „Swift and. Co" ofiarowała 3500 funtów masła, w blaszankach zalutowanych i pokrytych powłoką specjalnej farby, która zachowuje nieprzenikliwość zupełną dla powietrza.

Zupełnie słusznie Komandor Byrd położył nacisk na zaprowiantowanie należyte ekspedycji, chcąc utrzymać przy życiu i w stanie możliwego zdrowia 76 ludzi swej załogi w ciągu, — jak liczył — 18 miesięcy, a może i znacznie dłużej.

Trzy jego okręty: „City of New York", „Port Hunter" i „Eleanor Bolline" (ostatni noszący imię i nazwisko panieńskie matki Byrd'a) — zawierają zapasy, których nigdy nie miała żadna ekspedycja polarna. A więc dla przykładu: 2 000 funtów szynki, 4.000 funtów wieprzowiny, tonnę cielęciny, dwie tonny konserw rybnych i 9 tonn mięsnych i t. p.

Lista prowiantów była ułożona przez specjalistów i lekarzy, aby w najmniejszej ilości, zawieść największą ilość składników pożytecznych. W ten sposób np. znalazło się na niej 1.500 funtów cielęcej wątróbki w konserwach, z powodu wysokiej zawartości witamin.

Troskliwość amerykanów wyraziła się nawet w uszanowaniu tradycji i nałogów załogi.

Składy okrętowe zaopatrzone zostały bowiem w 2.500 indyków, aby mogło stać się zadość tradycji Bożego Narodzenia, a nawet... w gumę do żucia, specjał tak wielce cenniony przez „boys".

To samo należy powiedzieć o tonnach tytoniu i papierosów, bibljotece wypełnionej książkami ulubionych autorów, a wreszcie komplecie instrumentów muzycznych nie wyłączając pianina.

Specjalnie starannie został zorganizowany dział lekarski ekspedycji, na czele którego stanął

(Dokończenie na str. 21-ej.)



Wycieczka na pola lodowe.



Na szlaku..

UCZCIE DZIECI OSZCZĘDZAĆ



„Ślubujemy, że z książeczką P. K. O. nie rozstaniemy się nigdy. Postaramy się być nietylko „najpiękniejszemi" dziećmi, ale i najrozumniejszemi."

RODZICE.

Obdarzamy Wasze miłe dziatki książeczkami oszczędnościowemi P. K. O. z początkową wkładką pieniężną.

Wytłomaczcie dzieciom waszym ważność oszczędności w życiu, zachęcajcie je do ciułania groszy, pomóżcie im w tem wedle możności, zaprowadźcie je z pierwszą uzbieraną kwotą do P. K. O.

Przyuczanie dzieci do oszczędności ma bardzo doniosłe znaczenie wychowawcze; uczy porządku, ładu, skrzętności, powściągliwości, uczy szanować pieniądze, ubranie, książki i kajety.

Do Was, rozumni rodzice, należy prowadzenie dalej doniosłej w skutkach akcji tutaj przez nas skromnie zainicjowanej.

Liczymy na to.

Redakcja „7 dni".





Dopiero, kiedy odetchniemy rzeźkiem powietrzem...

Niema na świecie zjawiska, które dawałoby tak silne, takześrodkowane wrażenie bieli, jak świeżo spadły śnieg. Oczy nasze, oczy mieszczuchów, pracowicie mieszących przez całą zimę błoto uliczne, nie przywykły do tego widoku. Dlatego pali nas pod powiekami, ilekroć z murów miasta wydobędziemy się na bezkreśną, śnieżną równinę lub kiedy pociąg, po kilkunastu godzinach jazdy, przeniesie nas w zaczarowany świat białej górskiej baśni. Przysłaniamy oczy dymnemi szkłami; uciekamy od tej bieli, tak potężnej, że aż za surowej dla naszego, stumanionego blaskiem świateł sztucznych, wzroku. I dopiero, kiedy odetchniemy przez kilka dni rzeźkiem powietrzem zimowych pól lub gór, zaczynamy oswajać się ze srebrną zjawą, która nas co rok nawiedza. Zaczynamy ją kochać za tę jej nieskalaność, którą dumnie i szeroko rozpościera, za jej surową, ale krew batożącą, pieszczotę, za jej mroźną, a jednocześnie grzejącą, ostrość pod wysokiemi promieniami słońca i miękką rozlewność w godzinie zachodu. Zakochani w zimie — służymy zimie. Dla nas lśniące łyżwy, krające djamentową rysą lody stawisk, dla nas polotne narty, czyniące z nas dziwotwory o siedmiomilowych butach. Dla naszych płuc zadymionych — ożywcze łyki chłodnych powiewów, dla naszych zmęczonych serc — rytm przyrodzony, miarowy, dla naszych mózgów — wypoczynek i sen bez snów. Ten czysty całun, co wcisnął się wszędzie, co wszystko pokrył i ogarnął, i nas dotknął, ugłaskał swą miłosierną, białą dłonią. Dziećmi stajemy się wobec niego, zdolnemi rzucać w siebie śnieżne kule lub lepić nietrwałe dziwolągi — dziećmi, pijanemi pierwotną radością życia w kryształowym pałacu na szklanej górze, wśród srebrnopiórych kwiatów.

Poezja dawno już kornie przyklękła u stóp Królowej — Zimy i służy jej, jak wierny trubadur, dzwonnemi stancami. Prawie aż żałować należy, że akcja największego z naszych arcydzieł, „Pana Tadeusza", rozgrywa się na tle smętnego uśmiechu jesieni. Mickiewiczowska zima — to z początku w klaszyny kirys zakuta bogini, potem — to zima wrogiej północy na petersburskim bulwarze. Wielki epik nie uczynił z niej swego arcytworu,



zostawił ją innym. Niedawno zmarły mistrz formy Antoni Lange zcisza się w duszy przed majestatem bieli i tak go opiewa:

...Motyli białych — kwiatów białych —
Padły na ziemię gęste roje;
W dziecinnych pląsach rozszalałych
Złożyły senne płatki swoje.
Spuściło niebo swe muśliny
I otuliło świat ich bielą...
Nadeszły białych snów godziny
Pod śnieżną ciepłą ich pościelą...

A drugi wielki mistrz słowa niewiązanego, poeta ziemi polskiej Reymont, najcudowniejsze, niezapomniane karty „Chło-



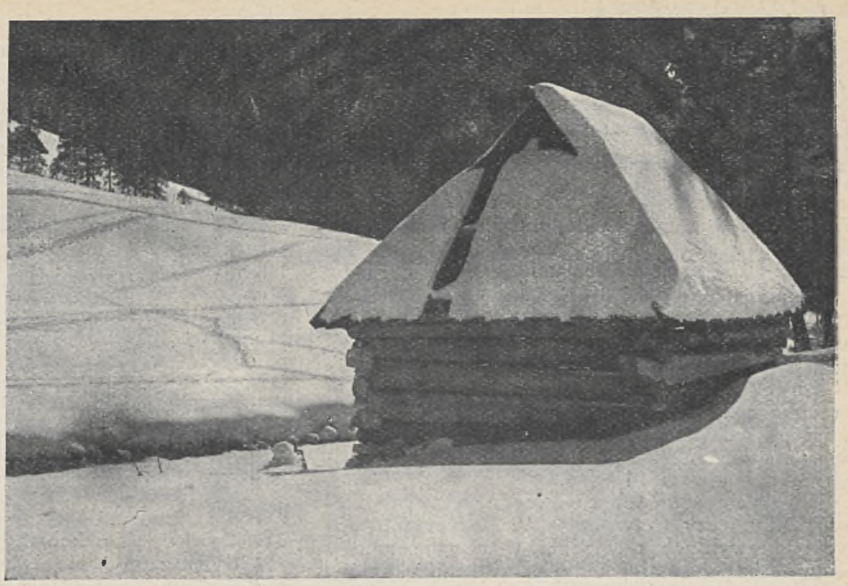
Las górski o zachodzie.



Narty stają się polskim sportem.



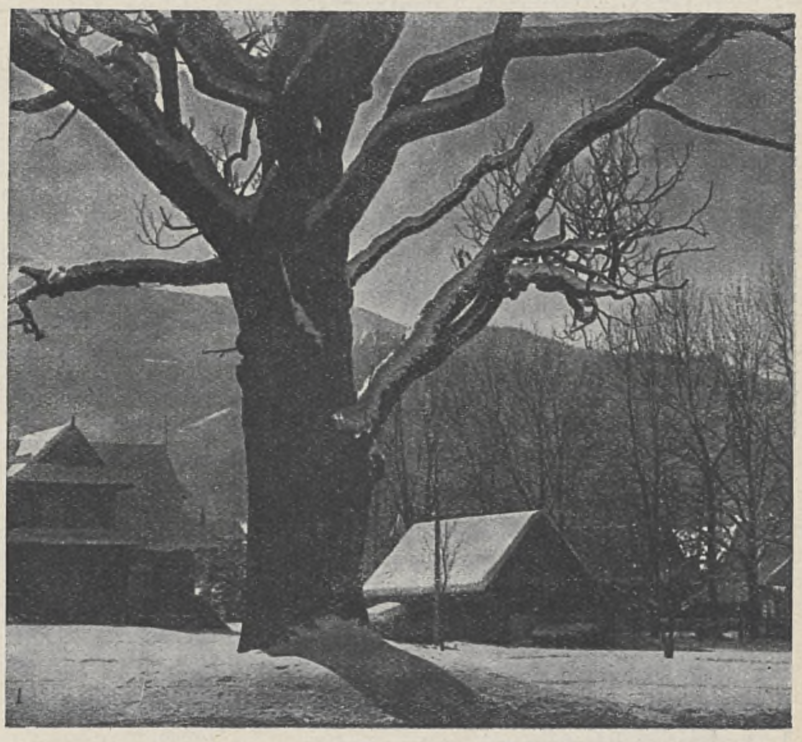
Czysty całun wcisnął się wszędzie...



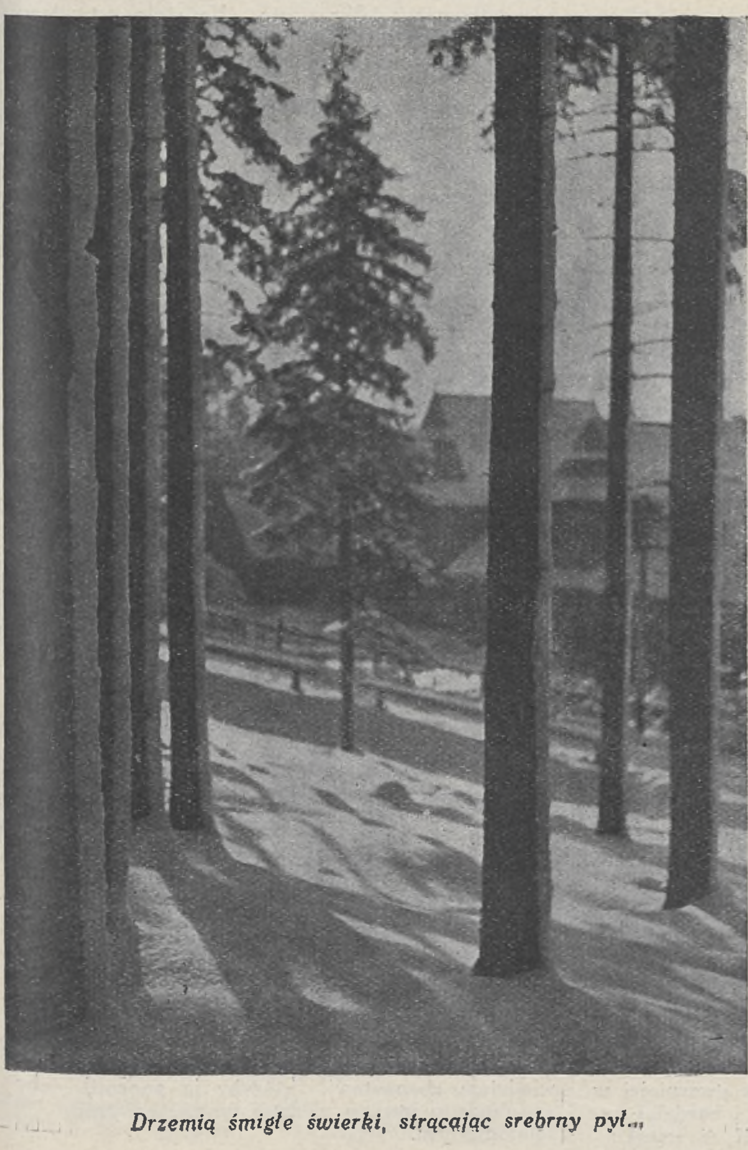
Niezapomniane karty „Chłopów" poświęcone są zimie...

pów" poświęca zimie, stawiając jej alabastrowy pomnik, którego żaden żar stopić nie zdolny. Prześliczny także pean na cześć zimy i łyżew śpiewa Zofja Nałkowska w „Niedobrej miłości".

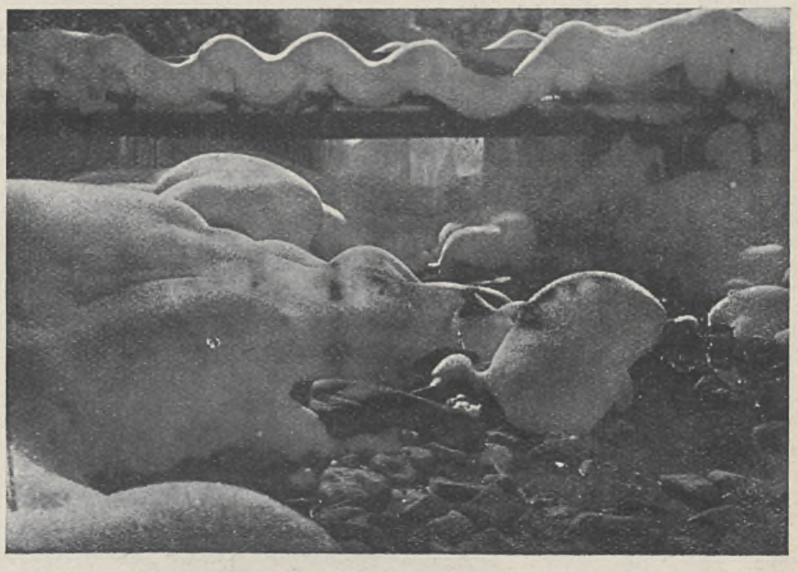
Rok bieżący, w odwecie za zeszły — polarny, nie dał nam prawie nigdzie cieszyć oczu skrzącą bielą. Tylko na kresach wschodnich zalegały śniegi, nawiane wichrami wschodu; tylko w karpackich dolinach, na tatrzańskich turniach płaszcz swój srebrzysty położyła zima. Ku jego gronostajom pielgrzymują ci, co to uczynić mogą, inni wyczekiwać muszą cierpliwie przymrozków warszawskich, ślizgawki w Dolinie i przy stygnącej filiżance kawy smętnie oglądają zaklętą przez czarodziejski objektyw białą cudowną baść gór. *Antoni Bogusławski.*



W karpackich dolinach płaszcz swój srebrzysty położyła zima...



Drzemią smigłe świerki, strącając srebrny pył...



Nadeszły białych snów godziny...

fot. dr. Wieczorek, Zakopane.

ANDRZEJ KOSTRZEWA.

Jak się bawiono w średniowieczu

Nie wyobrażajmy sobie, że średniowiecze było jakimś okresem ponurym, pełnym ascetyzmu i skupionej powagi okresem. Umiano się wówczas bawić niezgorzej, a czas zabaw np. w średniowiecznym Krakowie był o wiele żywszym, huczniejszym, a powiedzmy... swawolniejszym, niż gdziekolwiek indziej w Polsce w chwili obecnej.

Muzyka i taniec były ulubioną zabawą wszystkich; tańczono na dworach królewskich, w grodach i zamkach rycerskich oraz w domach mieszczańskich.

Musieli tańczyć i chłopi, gdyż dochowały się w rachunkach Mistrzów Krzyżackich drobne kwoty, jakie wydawano na opłacenie dziewcząt wiejskich, tańczących dla rozweselenia biesiad niemieckich zakonników w 14 w.

Nie wyobrażano sobie wówczas wytworniejszego orszaku, czy to w dalszych podróżach, czy w czasie zwykłych odwiedzin w obrębie murów miasta — bez szczupłej bodaj garstki muzykantów, przygrywających skocznie, a przedewszystkiem głośno, dla dodania ochoty i splendoru. Oni też grali do tańca; muzyka ta musiała być rzeczywiście huczna, jeżeli opisy podają nam aż prawie 30 różnych instrumentów, używanych w orkiestrach. Były to wymysły zagraniczne, które chętnie przyjmowały się w Polsce, zwłaszcza w większych miastach, zamieszkanych przeważnie przez Niemców.

Gdzieś, w cichych zakątkach, w starych zadymionych dworzyszczach rycerskich z pewnością jeszcze młode dziewczęta w białych, lnianych albo i konopnych szatkach, z wiankiem żywych kwiatów na głowie, przy dźwiękach luteńki o nieszczęsnych losach brzemkowej „Lukierdy" (Ludgardy) piosenki śpiewały żałosne, a rycerze wąsaci cuda opowiadali sobie o wyprawach do Ziemi Świętej i o walkach ze smokami, o których wieści i do głuchych zakątków docierały.

Jakże inaczej wyglądał „wielki świat..." bodaj krakowski!

W wielkich, sklepionych salach kamienic miejskich, czasem zaś zgoła nawet w refektarzu klasztornym, zbiera się zaproszona gromada; nie robiono jeszcze wówczas większej różnicy między rycerstwem, a mieszczaństwem.

Ubranie i strój ówczesnych elegantek zasadzał się przedewszystkiem na bogactwie ozdób. Paradne suknie szyto z grubszych jedwabi i złotogłowiu; na nich haftowano wzory perłami i klejnotami, oraz szczególnie ulubionemi blaszkami złotemi i srebrnemi. Powszechną też ozdobą sukien, zwłaszcza panieńskich były małe dzwoneczki, które za każdym ruchem wydawały miły dźwięk. Podobno ułatwiały one surowszym matkom kontrolę nad zbytnio rozbawionemi córkami.

Szczególnie wysadzano się na klejnoty i biżuterję; im więcej, tem piękniej. Nie wyliczyłby tych wszystkich naszyjników, diademów, maneli, kolców, kutych złotych lub srebrnych pasów niewieścich, jakie musiała ówczesna, zamożna elegantka włożyć na siebie, aby się nie stać przedmiotem pośmiewiska i obmowy.

Na głowy wkładano wieńce złociste, lub za czasów Chrobrego, a więc jeszcze za czasów wielkiej prostoty w obyczajach, damy dworskie wdziewały na siebie tyle ozdób i klejnotów, że je musiano podnosić, gdy chciały wstać z ławy... Niewątpliwa przesada, rzucająca jednak pewne światło na ówczesne gusta.

Na głowy wkładano wieńce złociste, lub ubiorki z różnobarwnych wstążek. Trzewiki i rękawiczki noszono na uroczystościach i zabawach złotem nakłuwane; trzewiki na bardzo wysokich obcasikach, takich, aby „pod niemi mógł się przecisnąć ptaszek", wielkości... czyżyka. Pończoszki szyto z jedwabiu i haftowano złotą nicią. Mężatki nosiły na głowach w różnych czasach strojne czepce, różnych kształtów i form, zależnie od mody, która już dawno, bardzo dawno, była najwyższą „władzą" w tym kierunku.

Wobec tych strojów damskich, wprawdzie pretensjonalnych i ciężkich, ale dających stosunkowo dość dużą swobodę ruchów kobietom, zbyt kusy i opięty wydaje się nam strój elegantów, nawet w Polsce i Krakowie.

Zdajmy sobie sprawę z tego, że wolny i swobodny, szeroki i wygodny kontusz, był strojem późnym, pożyczonym ze wschodu i węgierskiego południa. Eleganci 14 i 15 wieku ubierali się zupełnie inaczej.

Stroili się oni w krótkie obcisłe jedwabne „jaki", różnobarwne, o długich rękawach, sięgających często aż do ziemi; przypomnijmy sobie, że tak ubrany był Zbyszko z Bogdańca według opisu Sienkiewicza w „Krzyżakach". Przy tym „paradnym" stroju nie noszono spodni w obecnem znaczeniu; zastępowały je długie, także wielobarwne pończochy, w górze związywane wstążkami z czemś w rodzaju spodniego żupanika, który je z wierzchu nakrywał. Buciki były kolorowe, o długich nosach, czasem wprost nadmiernie sterczących do góry.

Włosy wiły się w zwojach i kędziorach, umiejętnie zakręcanych i wzmacnianych białkiem.

Na to wdziewano łańcuchy, pasy i t. p., a wszędzie, nawet do trzewików przyczepiano małe dzwoneczki, jak u kobiet.

Upiększano sobie i twarze. Bez „barwiczki" nie obył się ani elegant, ani elegantka. Rumieniono sobie policzki, barwiono włosy — kobiety często zmieniały kolor włosów — czerniono brwi, smarowano się na ciemno, a przedewszystkiem oblewano wprost pachnidłami. Było to konieczne bodaj z tego powodu, że choć którąś z zagranicznych elegantek 15 w. musiała mieć w swej gotowalni ok. 300 słoików i flaszeczek, to jednak brakło w nich przeważnie wody.

Myli się ci ludzie bardzo bardzo rzadko i dlatego wyziewy potu trzeba było nieraz przygłuszać „wonnemi olejkami"...

Zabawy zaczynano od jedzenia. Siadano parami przy wąskich stołach, a każdy przy misce. Była to pierwsza sposobność do średniowiecznego flirtu, zaczynanego wybieraniem sobie nawzajem lepszych kęsków mięsiwa i innych potraw paluszkami z misy i dwornem częstowaniem, kończącego się zaś przystępowaniem sobie nóg pod stołem. Dla zazdrosnych żon i mężów miały to być chwile szczególnie niebezpieczne.

Rozmowy gwarne i rubaszne nie miały bynajmniej dążności ukrycia myśli i pragnień pod formą zręcznego dowcipu, czy też delikatnej alegorji; dochowały się do naszych czasów rozmowy i dowcipy, zupełnie naturalne i powszechne w najwykwintniejszem towarzystwie ówczesnem: dziś mogłyby być opowiadane zaledwie w męskiem towarzystwie i to... na ucho.

Całe towarzystwo i to nietylko męskie, piło dużo wina, do wina podawano ciastka, torty, konfitury i owoce, zwłaszcza zagraniczne. Torty i konfekty były także... złocone i w pozostałych rachunkach spotykamy osobną rubrykę na ten wydatek.

W czasie całej uczty grała muzyka; po jedzeniu zaczynano tańce. W średniowieczu, także w polskiem „wyższem" towarzystwie, polerowanem na wzorach zagranicy, tańczono po obiedzie i po kolacji; przy każdej sposobności.

Tańce przychodziły z Zachodu, podobnie jak obecnie; zawsze narzekano na nowe ich formy i zawsze przypisywano im import demoralizacji i zgorszenia i to zawsze nadaremnie...

Niestety, o tańcach samych wiemy stosunkowo bardzo mało. Wiemy o jakimś wspaniałym tańcu polskim (polonez?) pełnym gracji i pompy według bardzo niedokładnej wzmianki obcego podróżnika; wiemy, że w 16 w. tańczono „gonionego", „cenara" (taniec niemiecki), na czem jednak one polegały brak wiadomości.

W 15 w. taniec łączył się nietylko z muzyką, ale i śpiewem; pewne części śpiewali wszyscy tańczący, pewne zaś poszczególne pary, według kolejności. Coś podobnego mamy w niektórych tańcach ludowych.

Obraz zabawy średniowiecznej, ze względu na wielką barwność strojów tak kobiecych, jak i męskich, na wielką różnobarwność ozdób, a przedewszystkiem na zupełne oddanie się tych ludzi weselu i zabawie, ponieważ nie krępowały ich wcale formy i konwenanse dzisiejsze, musiał sprawiać wrażenie dużej i silnej; nas, ludzi dzisiejszych, raziłaby zbytnia swoboda ruchów i słów, rubaszność wzajemnego stosunku płci, pozbawionego wszelkich osłonek, skonstatować jednak musielibyśmy, że tamci ludzie weselsi byli od nas w zabawie, podobnie jak gwarniejsi w gniewie i bardziej zapamiętali w smutku.



DR. R. CIECHANOW.

Telefoniczna komunikacja transoceaniczna

W styczniu 1927, 19 miljonów telefonów w Stanach Zjednoczonych pozyskało możność bezpośredniego skomunikowania się z 28 miljonami aparatów telefonicznych starego kontynentu.

Już w pierwszym roku istnienia tego rodzaju możliwości... przeszło 2900 osób rozmawiało telefonicznie przez Ocean.

Za opłatą 45 dol. można obecnie mieć możność rozmawiania przez 3 minuty z Paryża, Londynu lub Berlina z swymi najbliższymi w jakiemkolwiek mieście w Stanach Zjednoczonych. W Ameryce wystarczy powiedzieć telefonistce „Hallo — Long Distance London", a po upływie 6 minut odezwie się miejska stacja telefoniczna londyńska, która połączy petenta z żądanym numerem, rachunek telefoniczny, przesłany w końcu miesiąca abonentowi oczywiście zawierać będzie dodatkową pozycję „Long Distance $ 45".

Wobec różnicy czasu na dwu kontynentach, biorąc sprawę ściśle, głos ludzki wychodzący z Europy o 12-ej w południe dociera z szybkością 300.000 kl. na sek. o 6 godzin wcześniej niż wyszedł z Europy, to znaczy tegoż dnia o godzinie 6-ej rano. Amerykanie dobrze pamiętają o tej różnicy czasu, gdyż z własnej praktyki wiedzą, że gdy w San Francisco bije godzina 12-ta w południe, w New Yorku jest już 4-ta po południu. Ameryką nie ma wyłącznego znaczenia dla giełdy, gdyż alne linje, które różnią się jedna od drugiej o godzinę czasu. Na stacjach kolejowych amerykańskich wielkie zegary noszą „standardowe" napisy „Pacific Time", „Mountain Time" i t. d. To oczywiście doprowadza do pozornych absurdów, gdyż np. depesza wysłana z New Yorku dnia 15-go o godzinie 2-ej rano, zostaje przyjęta w Kalifornji na dzień przed wysłaniem, bo 14-go o godzinie 11 wieczór. Telefoniczna sieć między Europą a Ameryką niema wyłącznego znaczenia dla giełdy, gdyż 40 proc. rozmów ma charakter prywatny. Ekscentryczni obywatele amerykańscy składają sobie nawzajem życzenia świąteczne i urodzinowe przez Ocean. Oto np. pewne małżeństwo amerykańskie zaprosiło na własny koszt do Europy około 100 osób, z pośród swoich znajomych, aby wspólnie w Paryżu obchodzić dwudziestopięciolecie swego pożycia. Całe towarzystwo zarezerwowało sobie jedno piętro w Paryskim Grand-Hotelu, gdzie przygotowano wielką ucztę. Na stole ustawiono 100 aparatów, i w chwili gdy rozpoczęto uroczystości, połączono się telefonicznie z małem miasteczkiem stanu Ohio, gdzie reszta krewnych i znajomych, która do Europy nie mogła przyjechać odbywała podobną ucztę z okazji rocznicy ślubu. Skromne życzenia składane poprzez Ocean kosztowały kilkaset dolarów. Dr. A. S. Rosenbach, będąc w Ameryce, brał udział w licytacji rzadkich książek, jaka odbywała się w Londynie, za pośrednictwem swego telefonu, kosztem „małej sunki" — 3000 Ł., tyle bowiem rachunek za rozmowę transoceaniczną.

Pewien dwunastoletni chłopiec w Londynie przeglądał katalog firmy z Chicago, sprzedającej zabawki dziecinne. W domu nie było nikogo, chłopiec spostrzegł w katalogu piękną strzelbę, którą firma chicagowska nader tanio sprzedawała, nie wiele myśląc podbiegł do aparatu telefonicznego i połączył się z firmą chicagowską. Po 10 dniach zdumiony tatuś otrzymał rachunek telefoniczny na $ 20, oraz piękną strzelbę dla swego syna, prosto z Chicago. Piszącemu te słowa udało się przez aparat radjowy słyszeć z New Yorku urywki rozmów między dwoma kontynentami, niestety głos wychodzący z Ameryki jest przesyłany do Europy na innej fali, niż głos idący z Europy, dlatego też podsłuchać można było tylko jedną stronę mówiącą, nie zaś obie jednocześnie. Słychać nieskończoną ilość wezwań: Hallo, London, Hallo, London! następnie, nieco zdenerwowany głos, o typowym akcencie amerykańskim, który radzi swemu rozmówcy śpieszyć się i prędko mówić, gdyż każda minuta kosztuje więcej niż 10 dolarów. Zadziwia tu zawsze pośpiech mówiącego, który skutkiem tego zmuszony jest powtarzać kilkakrotnie to samo, np. „I am coming on the Berengaria" — Wracam na okręcie Berengaria", powtarza po kilka razy. Prowadzone są rozmowy obecnie na blisko 9000 kilometrów, bo z Kalifornji można rozmawiać ze Stokholmem. Jedynie Polak nie ma powodu do zadowolenia, gdy patrzy na swój aparat telefoniczny, gdyż nie odda on mu takich usług, jak Amerykanom. Amerykanin, poprostu podchodzi do telefonu, aby zapytać się, która godzina, albo jaka jest dzisiaj data.

Nie wiem coby warszawska telefonistka odpowiedziała abonentowi, któryby ją poprosił, aby go obudziła jutro o siódmej rano, wezwaniem telefonicznem.



Well.

Z CYKLU „KARNAWAŁ".

Dusza tańca

Poprzez gwar słów, głuszonych dźwiękami orkiestry, poprzez wrzaski jazz-band'u, poprzez jaskrawy zgiełk wielobarwnego, balowego tłumu — przemawia dusza tańca.

Przemawia do tych, co słyszeć ją umieją.

Dusza tańca jest syntetycznym wyrazem dusz tańczącego pokolenia. Tempo tańca, ściśle odpowiada tętniącemu pulsowi współczesnego życia. I dlatego mazur, taniec majestatu i dostojeństwa, miarkującego żywiołowe porywy krwi — tańczony przez ludzi dwudziestego wieku, jest zawsze jedynie parodją.

Rewolucja francuska, ścinając pudrowane główki wdzięcznych margrabianek, zabiła wraz z niemi i wytworne dusze gawota i menueta. Tańczono je jeszcze potem, ale były to już tylko martwe formy.

Próżno jest rzucać anatemy na niemoralność i brzydotę tańców współczesnych: są takie, jakiemi być muszą; ich rytm jest gorączkowym rytmem naszego pokolenia.

Posłuchajmy lepiej, co mówią:

CHARLESTON:

— Jesteśmy marjonetki, które los pociąga za sznurek. Jesteśmy kartonowe pajace, śmiesznie podrygujące w takt muzyki.

Śpieszymy się ogromnie, choć wciąż stoimy w miejscu; śpieszymy się niezmiernie, bo inni nas już gonią, gonią!... Musimy koniecznie nadążyć... nie wiemy właściwie, za czem?

Odbijamy się, jak piłeczki dziecinne, od lśniącej powierzchni posadzki. Drwimy sobie z prawa równowagi: oto już obie nogi mamy w powietrzu, jedziemy w górę, zwyciężyliśmy przestrzeń!... I znów opadamy na ziemię, i znów rozjeżdżają się nam śmiesznie stopy!

Znów trzęsiemy się i drgamy na miejscu — kartonowe pajace — które niewidzialna ręka pociąga za sznurek!

WALC-BOSTON:

— Mamy krynolinki z tiulowych riuszek — jak nasze prababki. Do krótko ostrzyżonych główek, przypięłyśmy loki biedermayerowskich dam.

We dnie roztrącałyśmy innych i same byłyśmy potrącane, w okrótnej gonitwie za groszem, lecz wieczorem chcemy marzyć i być kochanemi — jak nasze prababki.

Ach tańczyć, aby zapomnieć o nudnem „dziś" i nieznośnem „jutro". Wirować w kółko, aż zniknie z oczu cały znany świat i nawet obojętna twarz przygodnego tancerza. Wirując, wtańczyć się w kraj snów, tem cudniejszych, że są nieuchwytne.

Lecz co to?... Zabrakło nam tchu?...

Jakże rozkosznie jest otrząsnąć się raz na zawsze!

Więc jednak mamy serca!

I te serca, zmęczone i chore, ściągają nas z zawrotnej krainy snów (jak szybko!) na ziemię.

Dość upojnego wirowania w zaświaty! Teraz robimy wolne, posuwiste pas bostona.

Powrót do rzeczywistości...

BLACK-BOTTOM:

Figura pierwsza: murzyn wyłazi z błota.

Figura druga: murzyn się otrząsa.

— O tak, tak! Jak to przyjemnie nareszcie wyleźć z błota! Jakże rozkosznie jest otrząsnąć się raz na zawsze!

Ale błoto nie wypuszcza tak łatwo. Lepsze jest błoto i czepliwe. Gdy wyciągnąć jedną nogę, jeszcze głębiej grzęźnie druga. Mocno trzyma swą zdobycz błoto.

I każdy z nas jest murzynem — murzynem, trudzącym się ponad siły dla nieznanego, dalekiego pana. I każdy z nas usiłuje wyleźć z błota.

I każdy otrząsa się, otrząsa się, otrząsa, otrząsa...

— Brrr... (to powiedziała orkiestra).

TANGO:

— Grają tango. Jakże smutną jast sala balowa nad ranem! Zmięte suknie, zmięte twarze, zmięte dusze...

Beznadziejna samotność w tłumie, daremnie udajacym zabawę. Tango opowiada o zielonych poezjach Argentyny, których nigdy nie zobaczy...

Jak duszno jest w balowej sali!

Myślę o zielonych łąkach mojej wsi rodzinnej, której też już nigdy nie zobaczę.

I cóż Ci powiem? i cóż Ci powiem, Ty, w którego ramionach gnę się posłusznie! Jakie miejsce, jakie miejsce Ci przeznaczę w mojem życiu tak ubogiem, a tak przeładowanem?!

Kto wie, możebym Cię pokochała, gdybym miała więcej czasu. Kto wie, możebym Ci dała szczęście, gdyby życie mnie tak strasznie nie zmęczyło?

Gasną światła... Gasną światła już w balowej sali...

Bezlitosny, szary wdziera się poranek. Pośród zwiędłych, podeptanych kwiatów, tańczmy dziś Ostatnie Nasze Tango!...



OSTATNIE PREMJERY

Wznowienie „Wilków w nocy" Tadeusza Rittnera przez teatr Mały jest godne uznania.

Z podziwem dla wielkiego talentu dramaturgicznego Rittnera napawaliśmy się szkicowaniem niezmiernie interesujących, wielce oryginalnych



Smosarska i Osterwa w sztuce „Magja" Chestertona. (fot. Malarski.)

i niepospolicie głębokich psychologicznie postaci „Wilków w nocy", umiejętnością prowadzenie akcji, zręcznością djalogów, solidnością kośćca sztuki.

P. Przybyłko-Potocka raz jeszcze odniosła piękne zwycięstwo aktorskie, wznosząc się na najwyższy szczebel artyzmu. Wybitnie utalentowana artystka p. Modzelewska stworzyła typ wielce interesujący. Bardzo dobry był p. Grabowski. Obsady uzupełniali z powodzeniem pp. Słubicka, Daczyński i Stanisławski, który sztukę dobrze wyreżyserował. Słówko pochwały należy się rewelacyjnym zdolnościom aktorskim malutkiej Reni Barzynianki.

*

Tak to się paradoksalnie plecie w naszym teatralnym świecie, że o ile teatr Mały gra obecnie sztukę „wielką", o tyle teatr Nowy gra sztukę — starą. Bo napisana została już przeszło 20 lat temu. Nicby to nie szkodziło, gdyby nie to, że autor przez ten czas djametralnie zmienił przekonania.

Aż tu nagle postanowiono wystawić „Magję" G. K. Chestertona w teatrze Nowym. Ucieszył się z tego najpoczciwszy pod słońcem Wilam Horzyca, bo sztukę przełożył już 8 lat temu. Ucieszył się wytworny dżentelmen Ryszard Ordyński, bo znów mógł sobie nieco poreżyserować. Ucieszył się, wreszcie, wciąż niezmiennie czarujący błędny rycerz Juljusz Osterwa, bo aż się pławi w rozkoszy, gdy może grywać takich rozmaitych „Nieznajomych", „Przechodniów" „Lekkoduchów", „Papierowych kochanków" i papierowych osobników wogóle, którzy bądź z naiwnym entuzjazmem bądź z zadąsanem grymaszeniem uparcie twierdzą, że oni i tylko oni zjedli sól mądrości świata...

Na widowni panowała nuda... Na scenie zaś było ciemno, jak ciemno jest w mózgach „czynników miarodajnych", którzy recenzentom zaproszeń na premjerę poskąpili, aby ich nie zabrakło dla kacyków magistrackich i odwiecznych kibiców premjerowych, podczas, gdy biedny sprawozdawca nawet kupić bilet mógł jedynie za poparciem możnych a życzliwych mu znajomych. W wyniku zaś — conajmniej trzecia część sali świeciła pustkami, a po pierwszym akcie każdy mógł już siedzieć „na dwóch stołkach" w dosłownem znaczeniu. Mało kto dotrwał do końca tej sztuki, niesłusznie, zresztą, postępując, bo właśnie w trzecim akcie p. Smosarska błysnęła najpiękniej nieodpartym czarem swego talentu, p. Osterwa był najlepszy, a p. Sochy już na scenie nie było...

Henryk Liński.



Ogólna scena z „Wilków z Lasu" z Modzelewską i Grabowskim na czele. (fot. Brzozowski.)

REWELACJE „O NIEŚMIERTELNYCH"

W tej samej chwili, kiedy u nas stworzony przez Boya termin „bronzowników", stosujący się do „uczonków, co lata całe męczyli się i męczą nietylko siebie, ale i nas, profanów - czytelników, by na bronz wygładzić i wypolerować naszych wielkich i nieśmiertelnych" wywołał burzę protestów, a gwałtowna polemika witała każdy z artykułów Boya, ujętych ostatnio w wydaniu książkowem — w tej samej chwili, we Francji, wśród przygotowań do uroczystego obchodu stuletniej rocznicy powstania romantyzmu, pojawiają się opracowania, poświęcone intymnemu zapoznaniu się z życiem francuskich nieśmiertelnych.

I oto notujemy wielce znamienny objaw, iż mimo, że w opracowaniach tych napotykamy na szereg biograficznych danych, odkrywających różne śmieszne strony u ludzi, stanowiących chlubę kultury francuskiej — nikt przecież nie protestuje, nikt nie polemizuje, i nikt nie traci szacunku dla wiekopomnych zasług.

Oto kilka przykładów tych zabawnych rewelacyj.

Okazuje się więc, że Lamartine, którego wyobrażamy sobie jako górnolotnego melancholika, pasjami lubił przedewszystkiem, by podziwiano jego talent... jeźdzca. Paradował na siwym rumaku, sześć biało-śnieżnych psiaków ujadało wesoło, zwracając powszechną uwagę — poeta wszakże nie cierpiał konnej jazdy i skoro tylko mógł skręcić z drogi publicznej, pośpiesznie schodził z konia. Lamartine czuł się podobno najlepiej, gdy mógł oddawać się zajęciom zgoła prozaicznym — doglądaniu warzyw w ogrodzie lub prowadzeniu dysput z pijaczyną rządcą o zbiorach z winnic. Na rękopisach słynnych jego utworów widnieją obok własnoręcznych notatek: „dobrze", „znakomicie", „nadaje się do druku" — obliczenia inkasa za sprzedaż płodów z majątku ziemskiego.

Balzac był strasznym abnegatem w doborze stroju i nosił się, jak mawiał Lamartine, „niczem uczniak, który w ciągu roku szkolnego wyrósł z ubrania". Wetował sobie aliści te braki fantastycznym doborem stroju domowego, składającego się z wspaniałego szlafroka z jedwabnym pasem, u którego zwieszały się... złote nożyczki i scyzoryk, na nogach zaś nosił wzorzyste pantofle z safjanu. Balzac chodził spać o 8-ej, wstawał wśród nocy i pracował do świtu, przyczem spożywał 2 jajka i filiżankę kawy, sporządzonej z 3-ch gatunków, które kupował w 3-ch różnych dzielnicach miasta. Znakomity pisarz odznaczał się niezwykłym apetytem. Menu obiadowe, składające się z setki ostryg, przekąsek, ryby, kotletów wieprzowych, kaczki, kuropatwy i słodyczy (a wszystko obficie zakropione winem) nie należało w jego mniemaniu do ekstrawagancyj. Wielkiego tego badacza duszy ludzkiej cechowała dziecinna wprost naiwność w traktowaniu własnych interesów, gdyż marząc o zdobyciu fortuny, snuł fantastyczne projekty, jak stworzenie największego składu towarów kolonjalnych, założenie hodowli ananasów i t. p.

Alfred de Musset uchodził za nadzwyczajnego „dandysa", w samej rzeczy atoli, żył niezmiernie skromnie, stosując się do ściśle określonego budżetu. Pasją jego było imponować bliskim talentem w wykonywaniu różnych sztuczek. Zapijał się samotnie lub w towarzystwie zaufanego przyjaciela, Guichardet, wymyślając różne trunki „w kratkę", jak mieszanina piwa, absyntu i konjaku.

Dumas (senjor) lubował się w niesłychanym przepychu, na który wydawał wszystko co zarabiał. We wspaniałej rezydencji w St. Germain-en-Laye, kazał sobie zbudować na wyspie na środku stawu pracownię, w której lazurowy plafon usiany złotemi gwiazdami miał przysparzać mu natchnienia.

Wiktor Hugo był zato bardzo oszczędny. Lubił jedynie wykwint w urządzeniu domu, o ile meble nie dotyczyły własnej jego wygody, spał bowiem na wąskiem łóżku żelaznem, a poduszki zastępował mu wałek drewniany. Na ostatniem piętrze swej rezydencji w „Hauteville - Hause" na wyspie Guernesey mieściła się pracownia poety, w kształcie oszklonej klatki, w której zamykał się od samego rana uporczywie patrząc na słońce. Lubił urządzać seanse spirytystyczne i... chętnie udawał w ciemnościach głos przyzywanego ducha, zdradzając się atoli tem, że w potocznej mowie często używał wierszowanej formy. Szczytem jego skrytych marzeń było, by ludzie uwierzyli, że pochodzi ze znakomitego rodu i wymyślił sobie tytuł wicehrabiego oraz zbudował skomplikowane drzewo geneologiczne — z pominięciem prawdziwej rodziny, wywodzącej się ze skromnej sfery mieszczańskiej.

Zacytowane dziwactwa są zaledwie drobiazgiem w porównaniu z codziennie wyjawianymi szczegółami z życia nieśmiertelnych XIX stulecia, którzy, mimo wszystko, stanowią chlubę kultury francuskiej.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (4)

Streszczenie poprzednich numerów:

W Nizzy, odbywa się kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Przyjaciel jego Grant Slattery, ma tajną misję z ramienia Rządu Stanów Zjednoczonych. Po obiedzie u Lorda Yeovil Grant jedzie do kasyna w towarzystwie miss Zuzanny, gdzie spotykają sekretarza prywatnego lorda Artura Lymana w czułem sam-na-sam z b. narzeczoną Granta, Gertrudą von Dirs. Grant go ostrzega przed tym niebezpiecznym flirtem.

— Jest pani w błędzie. Żadna z kobiet, obecnych przy moim stoliku, nie interesuje się mną.

— Lady Yeovil jest panem więcej zainteresowana, niż pan przypuszcza. Ale mniejsza o to, nie o tem chcę z panem mówić. Czy zna pan tego młodzieńca, który wszedł tu przed chwilą z Iwonną Cortot z Café de Paris? — spytała nagle.

— Zobaczyłem go po raz pierwszy, teraz, przed chwilą, kiedy wszedł na salę.

— Nazywa się Itash — wyjaśniała dziewczyna. — Hrabia Itash, którego wszystkie dziewczyny, nie wiem czemu, nazywają po prostu Sammy. Pan jest Amerykaninem, prawda?

— Tak jest — przyznał.

— I jest pan napewno patrjotą.

Grant poczuł się nieco nieswojo.

— Niech pan się strzeże hrabiego Itasha — ciągnęła dziewczyna wolno i dobitnie. — Niech pan się strzeże tego, którego Iwonna Cortot nazywa Sammym. On nienawidzi pana ojczyzny, a i pana utopiłby chętnie w łyżce wody.

Grant poczuł, że jego przygodna partnerka bystro go obserwuje.

— Moja droga pani — zaprotestował — te wszystkie nienawiści narodowe, o których pani mówi, wymarły już wiele lat temu. Nasze ojczyzny nie są już obecnie wrogiemi.

— Nie jestem pewna tego, co pan mówi. Hrabia Itash nie myśli tak jak pan. Słyszałam zresztą, co mówił o dysputach w Waszyngtonie.

— Hrabia Itash jest bardzo niedyskretnym młodzieńcem — odparł Grant, hamując zdumienie. — Skąd pani ma te policyjne informacje?

Dziewczyna strząsnęła ze spokojem popiół z papierosa:

— Wiem wszystko, co trzeba, mam świetnych instruktorów.

— Ależ to wielka nieostrożność ze strony hrabiego Itasha, który prawdopodobnie zwodzi panią, ot tak, żeby panią zainteresować.

— Sammy nigdy ani słowem nie poruszał ze mną tych tematów.

— Któż więc informuje panią?

— Hrabia Itash.

— Nic nie rozumiem — rzekł Grant z niecierpliwością. — Bawi się pani ze mną w kalambury.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Na co tracić niepotrzebnie czas — rozpoczęła z uporem. — Mogę panu wyjawić rzeczy ważkie i okryte tajemnicą. Cóż pana obchodzi od kogo je znam. Zapewniam pana, że wiem prawdę.

— Kogóż więc pani posądza o spisek przeciw mojej ojczyźnie.

— Japonję i Niemcy. Możliwe, że i Chiny. Niemcy żyją jedynie myślą o odwecie. Ich zamiary już niedługo dojrzeją. Książę Fryderyk zostanie ogłoszony cesarzem niemieckim i Niemcy wraz z Rosją wypowiedzą światu wojnę.

Grant wysilił się na ironiczny uśmiech:

— Mógłbym pomyśleć, że pani jest zawodową wróżką. A czy pani informator zwierzył pani tajemnicę, skąd te dwa państwa wezmą pieniądze na wojnę?

— Z podboju Ameryki — rzuciła krótko.

Grant poczuł wewnętrzny dreszcz.

Tymczasem orkiestra grała walca. Wzmogła się wrzawa i wesołość, strzelały na wiwat korki szampana.

Jakiś młody człowiek wszedł do baru i rozglądał się, jakby kogoś szukał.

— Sammy! — zawołała młoda dziewczyna.

Młody, przystojny Azjata podszedł do ich stolika.

— Pozwól sobie przedstawić mego nowego znajomego, pana Granta Slattery — rzekła chłodno.

— Hrabia Itash. Rad jestem poznać pana. Czy pozwoli pan, że zatańczę z panną Clio?

— Oczywiście, ale pod warunkiem, że pani wróci jeszcze do mnie.

— Z największą przyjemnością to uczynię, bardzo mile gawędzi się z panem — odparła dziewczyna uprzejmym tonem.

Grant miał lekki zawrót głowy, gdy powrócił do swego towarzystwa, które powitało go wesoło.

— Bardzo miła ta pana tancereczka — rzekł Artur Lymane, jakgdyby nic między niemi nie zaszło. — Ciekaw jestem, kto to taki?

— To panna Aclio z Palais Royal — wyręczyła Zuzanna Granta i wyciągnęła do niego przyjaźnie rękę. Zaczęli tańczyć, zgodnie z uprzednią ich umową. Grant opowiedział Zuzannie swą dziwną przygodę, pomijając milczeniem niektóre szczegóły.

— Ojciec mówi, że od czasu kongresu stała się Nizza wogóle punktem centralnym intryg i szpiegostwa — dodała tajemniczo córka premjera.

Grant przetańczył z Zuzanną jeszcze dwa razy, poczem znów udał się do baru. Kiedy panna Aclio ujrzała go samego, podniosła się natychmiast z miejsca. W tej samej chwili Itash objął ją delikatnie wpół i mówił do niej coś ze wzburzeniem. Dziewczyna śmiała się. Grant, który uchwycił wyraz twarzy młodego człowieka poczuł lekkie zaniepokojenie. Miał uczucie, jakby teren jego działania znacznie się rozszerzył. Zdawało mu się nagle, że nie znajduje się już w nocnym dancingu, lecz na arenie, na której ma się rozegrać za chwilę jakaś zacięta walka.

Panna Clio podeszła do Granta ze spokojną i obojętną miną.

— Mam wrażenie, że pani jest nieco skrępowana obecnością swego przyjaciela.

— Istotnie, pokłócił się ze mną przed chwilą, a gdyby wiedział, co panu powiedziałam i co mam jeszcze zamiar wyjawić, zabiłby mnie z pewnością.

— Niechże mi pani zechce wyjawić źródło swych wiadomości — prosił Grant.

— Wspominałam już panu, że tego nie uczynię. Mimo to, wiem napewno o istniejącym od sześciu lat spisku, który dojrzeć może lada chwila i wydać owoce.

— Czy pani powie mi coś o tem?

— Owszem, skoro tylko dowiem się pewnych szczegółów Codziennie i co tydzień będzie pan zasobniejszy w szczegóły i wiadomości. Tymczasem muszę udawać jeszcze przyjaźń dla niego. Inaczej nie dowiem się niczego. Jedynym celem mego życia jest obecnie zniweczenie jego zamiarów.

— Pani jest bardzo mściwą istotą.

— Gardzę tymi, którzy umieją wybaczać. Ja nie zapominam nigdy i nigdy nie łamię danej obietnicy. A teraz... bądź pan zdrów.

Grant powrócił do swego towarzystwa, które wyrażało już życzenie opuszczenia lokalu. Zuzanna miała dziwnie zmartwioną minkę:

— Ten Japończyk wygląda, jakby miał zamiar zabić pana, pocóż mu się pan naraża?

Grant uśmiechnął się i właśnie miał coś odpowiedzieć, gdy nieoczekiwanie zjawił się przy ich stoliku Andrews, stenotypista Artura. Był wzburzony, poprosił go na stronę i szeptał mu coś do ucha.

Artur Lymane powrócił do stolika i oświadczył zdumionemu towarzystwu, że nagle zmarł na anewryzm serca baron Nagia, podczas nocnej, nieoficjalnej wizyty, którą złożył lordowi Yeovil w jego willi na Cap Martin.

Granta przeszedł jakby prąd elektryczny. Rozejrzał się po sali. Jego wzrok padł znów na hrabiego Itashi, który pamiętnie dyskutował ze swą towarzyszką.

Panna Clio słuchała ze spokojem, patrząc na niego swem dziwnem, zagadkowem spojrzeniem.

ROZDZIAŁ VI.

Nazajutrz rano przy lunchu nie było osoby bardziej zadowolonej ze swej asysty niż Gertruda. Stosunek Granta względem niej zmienił się w subtelny i delikatny sposób. Spoglądał na nią wzrokiem pełnym podziwu i umieścił na stole, w zacisznym kąciku najwytworniejszej restauracji piękny wazon różowych róż.

— Jakie śliczne! — zawołała Gertruda z zachwytem.

— Jak ślicznie jest mieć panią przy sobie — odparł Grant z galanterją.

Gertruda spojrzała nań pytająco:—Dlaczego byktóra w nim zaszła.

— Czemu to przypisać, że jest pan dzisiaj dla mnie tak dużo milszy niż wczoraj?

— Moja odporność słabnie — wyznał.

Ręka jego spoczęła przez chwilę na subtelnej dłoni Gertrudy.

Nie cofnęła ręki i uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Jest pan dla mnie milszy niż ten gołowąs Lymane. A myślałam już, że będę musiała zadowolić się flirtem z nim.

— Nie uczyni pani tego, Gertrudo — rzekł nagle Grant stanowczym głosem.

— Czemu?

— Bo ma on obecnie zbyt dużo roboty, a zresztą trzeba się zająć przedewszystkiem moją osobą.

— Ciekawam w jakim stopniu traktuje pan na serjo,—co powiedziałeś przed chwilą, Grant?

— O tem się pani przekona, postaram się o to. Czy zapomniałaś, Gertrudo, że jesteś moją dłużniczką i że należą mi się jeszcze jakieś strzępki uczuć, o ile nie zawładnął niemi całkowicie twój mąż?

Gertruda spojrzała nań pytająco: Dlaczego byłeś wczoraj tak zmieniony, Grant?

— Wczoraj owładnęła mną dawna boleść. Pokochałem cię na nowo i jednocześnie znienawidziłem cię za to. Dzisiaj horyzont mi się wyjaśnił i nie jestem już więcej zagniewany na ciebie.

Popatrzał na nią i oczy zaszły mu mgłą.

— Grant, nie chcę słuchać tego co mówisz. Mam jakieś przekonanie, że nie traktujesz mnie na serjo. A zresztą boję się, że naprawdę stracę głowę. Nie wiem, co stało się ze mną wtedy przed trzema laty w Waszyngtonie. Otto był we mnie tak zakochany i taki gwałtowny. Wahałam się i nagle zapragnęłam zostać księżną.

— Nie mówmy o tem, co przeszło, Gertrudo. Żyjmy tem, co przynosi dzień dzisiejszy.

Gertruda była zlekka zakłopotana. — Zachowujesz się zbyt demonstracyjnie. To nie jest zbyt ostrożne Ksiaże Lutrecht jada tu często śniadanie, a i Korneljusz Blunn może nadejść tu lada chwila, gdyż miał rano przyjechać do Monte Carlo.

— Korneljusz Blunn! — zawołał Grant. —Ależ to jedna z najbardziej popularnych osobistości w Europie!

— To bardzo bliski przyjaciel mego męża i chociaż jest wdowcem, ceni bardzo wysoko cnoty i konwenanse małżeńskie. Przedstawię go panu o ile nadejdzie.

— Wolę tu być z panią sam na sam, Gertrudo.

— A cóż robi Artur? — skręciła księżna rozmowę. — Biedny chłopiec! przysłał mi dziś rano cały kosz kwiatów.

— Życie może mu przynieść wogóle wiele rozczarowań — wtrącił Grant.

— Ale... Grant, mówimy sobie różne miłe słowa, a nie poruszyliśmy spraw nader aktualnych.

— To straszne było wczoraj, ten wypadek z baronem Nagim. Czy był to istotnie anewryzm serca?

— Tak lekarze przypuszczają.

— A cóż on robił o tak późnej porze w willi premjera Yeovil?

— Nie wiem dokładnie. Sądzę jednakże, że musiały zajść pewne komplikacje na konferencji. Prawdopodobnie chciał baron Nagi wyjaśnić swoje stanowisko.

— W Berlinie mówią o zerwaniu traktatu — szepnęła Gertruda. — Ameryka miała słuszność, że nie brała w nim udziału. Nie przypuszczałam jednakże, że ma tak wielu wrogów.

— Ba! żadnego z nich nie można brać na serjo. Któż to taki? Chyba tylko mały, żółty Japończyk i dzisiaj przestarzała już nienawiść do Niemiec. Pozatem nic nam nie grozi.

— Nie sądzisz, Grant, że Ameryka przystąpiłaby dziś jeszcze do Międzynarodowego Traktatu?

— Nie przypuszczam tego ani na chwilę i na cóż? Zawierała przez całe lata oddzielne traktaty handlowe na własną rękę, a obecnie jest najbogatszym krajem świata. Ale, a propos, kto może zająć miejsce barona Nagi na konferencjach?

— Mam wrażenie, że przyślą z Berlina hrabiego Katinę. Nie powinnam mówić o tem, ale zaczynam wierzyć w absolutną pana indyferencję wobec polityki.

— Dlaczego wątpiła pani w to dotychczas? Zdaje się, że oświadczyłem pani wczoraj, że wycofałem się z polityki absolutnie. Majątek uczynił mnie zbyt leniwym, abym mógł zajmować się czemkolwiek poważnie. Miljony odziedziczone po Van Roordenie wykoleiły zupełnie moje ambicje. Byłaby pani dziś bardzo bogatą kobietą, Gertrudo, gdybyś zechciała wtedy czekać.

— Gdybym zechciała czekać — westchnęła.

Tymczasem pusta do niedawna restauracja zaczęła się napełniać. Między nowymi przybyszami znalazła się Zuzanna i Artur Lancaster, który rzucał młodzieńczo-smętne spojrzenia w stronę Gertrudy. Zuzanna odkłoniła się Grantowi na przywitanie, lecz w oczach jej mignął cień niezadowolenia...

— Powiedz mi, Gertrudo, któż to jest ten korpulentny gentleman, który tak zabawnie kłania się w twoją stronę? — zapytał Grant.

— To właśnie Korneljusz Blunn, przemiły człowiek. Mam wrażenie, że za chwilę podejdzie do nas. Bądź dla niego uprzejmy, dobrze? Zrób to dla mnie.

Nowy przybysz uśmiechał się zdaleka tak jowialnie i wesoło, jakgdyby całe Monte Carlo było jakimś znakomicie obmyślonym dowcipem a księżna jego pointą. Kroczył ku niej niezgrabnie, jak wielki tłusty słoń, osadzony na zbyt krótkich nóżkach. Lecz gest, którym na przywitanie ucałował rękę Gertrudy był gestem wielkiego światowca.

(D. c. n.)

Koniec dyktatury w Hiszpanji

„Wasza Królewska Mość umieścił swą koronę na rękojeści szabli" — takie historyczne słowa wypowiedział Antonio Maura do króla, gdy ten ostatni powołał do rządów Primo de Riverę.

W słowach tych mieści się wiele prawdy. Król jest jedynie odpowiedzialny za przeszło sześcioletni okres dyktatury.

W Hiszpanji ogół nie interesuje się polityką. Nie należy się temu dziwić. Niektóre prowincje bowiem liczą i dziś jeszcze od 45% do 75% analfabetów, a przeszło 500.000 ludzi rocznie musi poszukiwać pracy we Francji.

Dlatego też zamach stanu w roku 1923 był niezmiernie łatwy do przeprowadzenia. Wystarczyło, aby kapitan-generalny Barcelony Marquis Primo de Rivera wsiadł w pociąg w Barcelonie i przyjechał objąć władzę w Madrycie.



B. dyktator Primo de Rivera z małżonką.

Primo de Rivera usunąłby się wcześniej od władzy gdyby jego przeciwnicy znaleźli poparcie wśród obojętnych mas.

Sanchez Guerra, przewódca konserwatywnych liberałów opuścił mały port południowej Francji na prywatnym yachcie, sądząc, że sam jego przyjazd wznieci rewolucję garnizonów w Audad Real. Burza morska jednak opóźniła jego przyjazd.

Eleganccy oficerowie artylerji nie mogli doczekać się przyjazdu swego przewódcy i bunt wybuchł przedwcześnie. Gdyby wówczas morze było mniej burzliwe, a oficerowie bardziej cierpliwi, dyktatura skończyłaby się o 2 lata wcześniej.

* * *

Primo de Rivera nie cieszył się w swym kraju wielką sympatją, miał on przeciw sobie wszystkie partje.

Ani cenzura prewencyjna, ani surowe represje nie przyczyniły się do spopularyzowania postaci dyktatora, na temat którego kursowało tysiące złośliwych ploteczek. W kawiarniach Madrytu i Barcelony szeptano sobie rozmaite historje o jego hulaszczem życiu, opowiadano nieprawdopodobne zdarzenia o jego aferach miłosnych.

Wreszcie małżeństwo dyktatora z podstarzałą damą arystokraczną — rozśmieszyło szeroki ogół.

Primo de Rivera był surowym dla swych przeciwników, dekret jego zakazał publicznego tańczenia Sardany — tańca narodowego Katalońskiego, w którym dyktator upatrywał utajone chęci oderwania się od korony.

Hiszpanie traktują politykę humorystycznie. Walka z rządem polegała głównie na ośmieszaniu jego przedstawicieli, dyktator jednak rządził dalej, obiecywał, że usunie się, a odchodząc wyraził życzenie, że jedyną właściwą formą rządzenia będzie dalsza dyktatura. Jego następca gen. Berenguer mianował dawnego dyktatora gubernatorem wysp Balearskich.

Nowy premjer nie pójdzie w ślady swego poprzednika, zamierza bowiem przywrócić dawną konstytucję.

Dr. R. C.

PRZEGLĄD FILMOWY

Casino. Apollo. — „Uroda życia".

Jeden z najlepszych, a może nawet najlepszy film polski. Przedewszystkiem posiada głębię tematu i silne napięcie dramatyczne, co się filmom polskim niezmiernie rzadko zdarza. Scenarzyści (Gardan i Stern) skondensowali bardzo zręcznie wszystkie silniejsze momenty z powieści Żeromskiego i znaleźli szczęśliwe rozwiązanie w scenie przekopu i wypuszczenia więźniów, która rozgrywa się jednocześnie z rozpaczliwym oczekiwaniem Tatjany i staje się ostatecznym powodem jej samobójstwa. W ten sposób przedstawiono i przeinaczono bieg i treść powieści. Reżyserja (Gardan) ciekawa, na wysokim poziomie artystycznym i staranna w każdym szczególe. Gra (Nora Ney Samborski, Brodzisz i Bodo) naogół bardzo dobra Zdjęcia (Steinwurcel) dobre, zwłaszcza zdjęcia plein'arów. Kulturalne kierownictwo literackie (Kończyc) dopełnia całości tego filmu, który poza drobnemi usterkami—pewna przewlekłość w pierwszych aktach, niedociągnięcia w scenie w restauracji i na balu należy bezwzględnie do najciekawszych filmów sezonu

Zofja Dromlewiczowa.

Wielki szlem

(Dokończenie ze str. 6-tej.)

— Panie Zygmuncie — rzekła cicho. — Wierzę panu i ufam, ale... Mój mąż...

— Nie mógł nie kochać tak pięknej kobiety — przerwał Zdański, całując ją w rękę.

— Kochał tak bardzo, że nawet po śmierci nie oswobodził mnie od swej zazdrości — rzekła z goryczą Alina i opowiedziała profesorowi o nielitościwym testamencie.

Jakiś ognik zapalił się i zgasł natychmiast w lekko przymrużonych oczach Zdańskiego. Wstał i wielkiemi krokami zaczął przechadzać się po pokoju. Nagle zatrzymał się przed panią Aliną.

— Więc w razie wyjścia pani za mąż, to wszystko — zrobił ruch ręką, jakby ogarniajac nim przepych. otaczający Alinę — przechodzi do rodziny jej męża?...

— Doktorze, na chwileczkę. Panowie darują, sprawy zawodowe — przepraszał profesor kolegów, którzy przyszli do niego na partję bridge'a.— Ciekaw jestem jakie wrażenie wywrze na tym zakochanym smarkaczu wiadomość o stanie majatkowym Aliny? — myślał, prowadząc Ramockiego do przyległego pokoju.

— Co się stało? — zapytał dość oboiętnie Ramocki, myśląc o jutrzejszym dniu, w którym pani Alina miała dać mu nareszcie upragnioną odpowiedź.

— Ta pani Alina... zaczał Zdański.

Uwagę Ramockiego przykuło natychmiast wymówione imię.

— Pewnie dostał kosza — pomyślał z zadowoleniem.

— Jej mąż — rzekł Zdański — zapisał jej cały majątek z zastrzeżeniem, że w razie ponownego jej wyścia za mąż, spadek przejdzie do rodziny nieboszczyka. Kto więc ożeni się z naszą piękną wdówką, weźmie ją tak, jak stoi, bez bižuterji nawet, bo i ta pewnie stanowi część spadku! Oszukiwała nas! I pana i mnie!

— Ach, tak?.. wyrzekł z namysłem Ramocki, i serdecznie uścisnął dłoń profesora.

Wrócili do solika...

— Poczciwy jednakże ten Zdański — pomyślał Ramocki, rozdając karty. — Aż zimno mi się robi...

— Szlemik w piki — rzekł nagle profesor.

— Kontra — odezwał się doktór P.

— I nic nie szkodzi, jeśli nawet kontra się uda — roześmiał się Zdański. — Wygraliśmy niedawno wielkiego szlema na loterji życia. Prawda doktorze? — dodał porozumiewawczo.

— Bezwzględnie — uśmiechnął się Ramocki.

Gdy nazajutrz poszedł do pani Aliny, zauważył po raz pierwszy cieniutką siateczkę zmarszczek, misternie ukrytą pod warstwa pudru i różu i domyślił się gumowego pasa, ściskającego zbyt pełną już kibić.

— Ona jest napewno starsza odemnie — pomyślał z niesmakiem i rozpoczął rozmowę dość oboiętnie.

Pani Alina natychmiast zrozumiała zachowanie się doktora.

— Rozmawiał z profesorem — pomyślała, ale wrodzona duma dodała jej sił.

— Panie Władku — zaczęła swobodnym tonem, kryjąc łzy boleśnie zranionego uczucia pod zdawkowym uśmiechem — doszłam do przekonania, że żoną pana zostać nie mogę.

— Pani Alinko! — zawołał niemal radośnie Ramocki, ale zaraz zawstydził się szczerego odruchu. — Cóż, zmuszać pani nie mogę — powiedział spokojnie — ale przyjaciółmi możemy pozostać.

— To będzie nieco trudniejsze — kłamała w dalszym ciągu, — gdyż w niezadługim czasie wyjeżdżam z kraju. Wychodzę bowiem za mąż za dawno kochanego, chociaż niezamożnego człowieka.

— Ale testament! — bąknął, zdziwiony.

— I pan też uwierzył w tę bajeczkę z testamentem? — śmiała się nieomal histerycznie — wymyśliłam ją dla odstraszenia Zdańskiego i t. p. nieproszonych konkurentów...

Wystawa radjo i światło

W ubiegłym roku radjoamatorzy polscy przyjmowali udział w uroczystościach otwarcia wystaw Philipsa w Warszawie, Katowicach i Wilnie, gdyż uroczystości te były transmitowane przez stacje nadawcze Polskiego Radja. Dnia 26 ub. m. otwarto wystawę Philipsa Radjo i Światło w Łodzi. Otwarcie to nie było transmitowane przez radjo, gdyż stacja nadawcza w Łodzi nie jest jeszcze gotową.

W związku ze zbliżającym się terminem uruchomienia łódzkiej stacji nadawczej wystawa Philipsa specjalnie przybiera na znaczeniu. Zadaniem tej wystawy, jak wszystkich już otwartych wystaw Philipsa w innych miastach, jest popularyzacja i propaganda radjofonji i idei racjonalnego oświetlenia.

Urządzenie wystawy jest niezwykle celowe. Wystawa łódzka nie posiada tego przepychu, który cechuje wystawę Philipsa w Warszawie, lecz całość urządzenia, jak również wystawione licznie ciekawe eksponaty robią niezwykle dobre wrażenie i wzbudzają żywe zainteresowanie każdego, kto jest ciekaw osiągniętych doskonałości w obu dziedzinach spółczesnej cywilizacji — w radju i w świetle.

Wystawa Philipsa ma duże znaczenie, nietylko jako przegląd tego, co w tych dziedzinach zostało dokonane zgodnym wysiłkiem naukowym inwencji i pracy technicznej. Posiada ona niezwykle doniosłe praktyczne znaczenie, gdyż ma za zadanie przedewszystkiem uczyć w drodze poglądowej, jak uniknąć błędów przy wyborze i zakupnie instalacji radjowej i jak korzystać ze światła w przemyśle, w handlu i w życiu prywatnem.

Życzymy nowej placówce cywilizacji jaknajwiększego powodzenia. Jesteśmy pewni, że zarówno cała kulturalna Łódź, jak i cały przemysł łódzki i handel we własnym dobrze zrozumianym interesie wystawę tę odwiedzi.

(r.)

Wyprawa Byrda w lodach Antarktyku

(Dokończenie ze str. 10-tej.)

dr. Francis Coman. Nie zapomniano nawet o takich środkach, jak bezwonna lanolina, której zabrano aż 100 funtów. Okazuje się bowiem, że okolice Antarktyku są typowym krajem wichrów, zamieniających się często w huragany. Siekące twarze i ręce wiatry były już przyczyną wielu wypadków, przeto ciału lanolina jest rzeczą nader polecaną.

Każdy z członków ekspedycji przed wyjazdem był poddany szczepieniu przeciw ospie i tyfusowi. Różne inne szczepionki znajdują się w aptece ekspedycji.

Jak widać z powyższego opisu, ekspedycja Komandora Byrda, będąc zorganizowaną tak, jak żadna dotychczas wyprawa polarna — nie obawia się bezpośrednich niebezpieczeństw, wynikających z przedłużonego pobytu wśród lodów.

Nie należy jednak wątpić, że władze amerykańskie obmyślą środki, prowadzace do skrócenia długich miesięcy niewoli bohaterskiej załogi, która ugrzęzła w Małej Ameryce, o 1.000 kilometrów odległej od swej bazy.

Pierwszym krokiem władz amerykańskich było wysłanie na pomoc okrętu wojennego, który jednak nie mógł przebić się przez zatory lodowe, aby przedostać się do Małej Ameryki.

W ostatnich swych depeszach Byrd prosił rząd o porozumienie się z Norwegją której statki wielorybnicze znajdują się na morzu Rosse'a, w celu urządzenia ekspedycji ratunkowej.

Z. K.

CZY WIECIE ŻE...

...pierwszy banknot papierowy wypuszczony został przez cesarza chińskiego w 8 wieku.

*

...znany kompozytor Haydn stworzył do 100 dzieł muzycznych.

*

...w Tyrolu wszyscy żonaci wieśniacy noszą na kapeluszach zielone wstążki. Kawalerowie zaś noszą czerwone.

PROGRAMY WIDOWISK

Teatry

WIELKI
Dn. 6 b. m. „Pan Twardowski".
Dn. 7 b. m. „Ijola".
Dn. 8 b. m. „Zmierzch Bogów".
Dn. 9 b. m. „Faust" z „Nocą Walpurgji".

NARODOWY.
Codziennie „Bal w Obłokach".

NOWY.
Codziennie „Magja".

LETNI.
Codziennie „Książę Małżonek".

POLSKI.
Codziennie „Rywale".

MAŁY.
Codziennie „Wilki w Nocy".

ATENEUM.
Codziennie „Podhale Tańczy".

OPERETKA L. MESSAL.
Codziennie „Ewentualnie teraz w nocy".

MORSKIE OKO.
Codziennie: „Gwiazdy Warszawy".

QUI PRO QUO.
Rewja p. t. „Dookoła Bartel".

WESOŁY WIECZÓR.
Rewja p. t. „Confetti".

MUSIC-HALL „ORFEUM".
Codziennie Program Nr. 2.

CYRK.
Codziennie walki francuskie.

Kina

Colosseum: „Przed wyrokiem".
Świątowid: „Skrzydlata flota".
Wodewil: „Drapacze chmur".
Filharmonja: „Książę student".
Splendid: „Dzika orchideja".
Quo Vadis: „Walka o Różę Marję".
Palace: „Wyspa rozkoszy".
Casino i Apollo: „Uroda życia".
Stylowy: „Żelazna maska".
Pan i Capitol: „Ulica grzechu".

WIKTOR PRZECŁAWSKI.

Zbrodnia i kara u zwierząt

Na twarzy niejednego z czytelników widzę uśmieszek... powątpiewający. Aż tak?! Zbrodnia i kara?! No, no! Przecież, mój łaskawco, zwierzęta n i e m y ś l ą w naszem ludzkiem znaczeniu tego słowa, ergo i n i e s ą d z ą. I n s t y n k t — oto wszystko, czem zwierzęta są obdarzone, więc jakże można mówić o s a m o d z i e l n e j myśli, jakże nawet szepnąć o pojęciach zbrodni i kary?!

A jednak, proszę państwa, właśnie o tem mówić będziemy. Wprawdzie zwierzęta nie myślą i nie sądzą w naszem ludzkiem znaczeniu tego słowa, ale myślą po swojemu i to bardzo logicznie. Mają więc także swoją swoistą, oczywiście, moralność, i dlatego to możemy dziś mówić o zbrodni i karze u zwierząt.

Przedewszystkiem jednak porozumieć się musimy co do pojęcia zbrodni. W pojęciu naszem, t. j. ludzkiem, zbrodnią jest wszystko, co jaskrawie burzy porządek społeczny, czyli zbrodniarzem, ewentualnie przestępcą staje się jednostka wtedy, kiedy w egoistycznym interesie łamie prawo, depcząc w ten sposób interes ogólny. Prawo powstało wtedy, kiedy ludzkość z dzikiej hordy jęła przeobrażać się w gromadę społeczną. Człowiek pierwotny zabijał, a nawet i zjadał swego wroga, który mu usiłował odebrać jego własność, a przedewszystkiem jego kobietę, i t r a d y c j a owa trwa jeszcze i dzisiaj, aczkolwiek w niesłychanie złagodzonej formie... odebranie kobiety uważali pierwotni ludzie za z b r o d n i ę, — t o s a m o uważają za zbrodnię zwierzęta.

Poczyniono w tym kierunku już bardzo wiele obserwacyj, i niektóre z nich dały wprost rewelacyjne wyniki. Na indyjskich plantacjach używa się do dziś dnia, jako siły roboczej, wielkich ilości słoni, które szybko przyzwyczajają się i doskonale rozumieją ludzi, i odwrotnie zwyczaje, których ludzie również dobrze poznali. Otóż słonie te, naogół łagodne i bardzo posłuszne, buntują się i to buntują się bardzo groźnie, jeśli człowiek usiłuje wtrącić się w sprawy, które one same od wieków przywykły rozstrzygać. A idzie tu, oczywiście, o sprawę samicy, której nie wolno zdradzać samca już raz wybranego.

Pewien uczony niemiecki, który długo badał życie kanarków, stwierdza, że wypadki zabijania przez „małżonka" niewiernej „żony" są u tych łagodnych ptaszków na porządku dziennym.

Inny znowu opisuje zbrodnię następującą: — „Ptak małżonek" poleciał na zwykłe polowanie, „małżonka" zaś tymczasem zdradziła go z innym. Sprawa się wydała, gdyż „małżonek" powrócił za... wcześnie. Rozpoczęła się bitwa, w której zdradzony „małżonek" uległ i padł trupem. Nie na tem jednak koniec. „Bracia" zabitego ukarali wtedy śmiercią „niewierną małżonkę". Tylko szanowny „kochanek" umknął szczęśliwie.

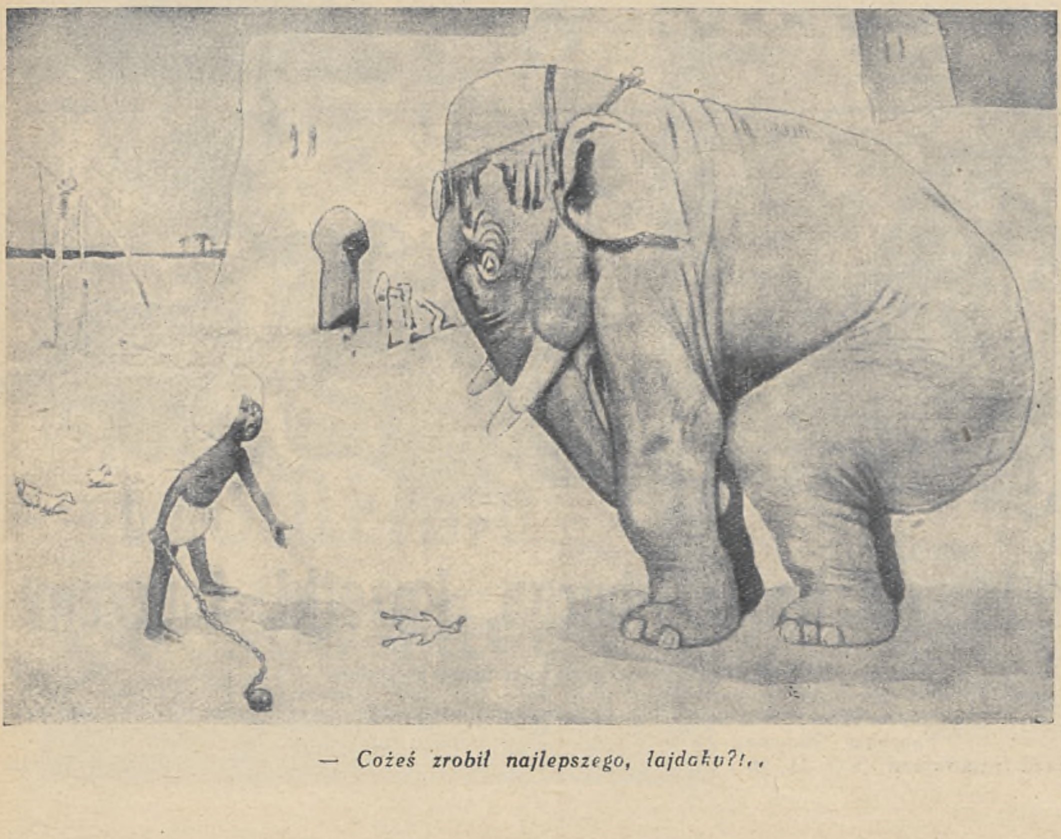
Podobne zdarzenia zaobserwowano także u gołębi. Wspaniały czarny gołąb, przepyszny okaz silnego, zuchwałego samca, długi czas broił bezkarnie, porywając innym gołębiom ich gołębice, i nierzadko zabijając walczącego o swe prawa „męża". Aż wreszcie zorganizowano na zuchwalca karną wyprawę i zabito go bezlitośnie.

Przykładów takich możnaby zacytować bardzo wiele, a dowodzą one niezbicie, że istniejące wśród zwierząt prawa są surowo przestrzegane, i że zwierzęta potrafią się jednoczyć w celu ukarania winnego. Należy także zauważyć, że poszanowanie prawa (zupełnie jak u ludzi) wzmaga się u zwierząt wraz z wiekiem. Najwidoczniej zdobyte doświadczenie umacnia w przedstawicielu słoni czy kanarków poczucie konieczności i celowości tego prawa.

Solidarność wystąpień gromadnych, zarówno dotycząca wypraw karnych, jak i obrony pokrzywdzonego członka gromady, jest również ściśle przestrzegana, a wyłamywanie się z tego obowiązku karane. Wiedzą o tem nietylko uczeni, ale także opgromcy cyrkowi.

W jednym ze słynnych cyrków wędrownych zdarzył się niedawno następujący wypadek. Cyrk ten posiadał około dwudziestu słoni, pomiędzy któremi kilka sie miało jeszcze lat dziesięciu. Te małe, lubiały figlować i nie chciały przywyknąć do surowego posłuszeństwa. Szczególnie jeden. Pan pogromca przeto szczególniej na tym jednym próbował swoich sił i swego bicza, aż wreszcie kiedyś zranił go bardzo silnie. I stała się rzecz straszna. Zbuntowane słonie rzuciły się na pogromcę i zmasakrowały go w mgnieniu oka. Jednak dwa słonie w czynie tym wyraźnie odmówiły swego udziału. Poniosły za to natychmiast karę. Zostały dotkliwie obite, i pono przez czas dłuższy przez całą gromadę traktowane były wzgardliwie.

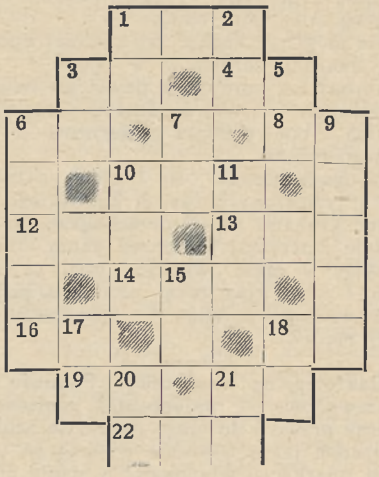
W świecie małp spotykamy już wyszkoloną i silną organizację. Małpy mają nawet swój sąd, który wydaje „prawomocne" wyroki, i który karze także za samowolne wymierzanie sobie sprawiedliwości. Znanym jest fakt tak zwanego sądu strażniczego. Otóż wędrująca gromada małp rozstawia na noc straże. Straże te są odpowiedzialne za bezpieczeństwo całej gromady. Jeśli zdarzy się nieszczęście, napaść i bitwa, i jeśli kilka małp zginie, cała straż idzie pod sąd. Wyrok sądu jest wykonywany natychmiast, i, co naciekawsze, rzadko kiedy napotyka na opór licznych skazanych. Sprawdza się tu powiedzenie „gromada światem włada", i gromada tworzy pierwsze, niepisane, ale przestrzegane, prawa. Przestrzegane, ponieważ najmniejsze nawet, z praw tych przekroczenie jest natychmiast przez gromadę karane. Małpy np. gromadząc na noc czy na jakąś wędrówkę zapas owoców, ustawiają się łańcuchami około drzew i „pracują" sprawnie i szybko. Zerwany owoc wędruje z ręki do ręki, i gromadzi się w oznaczonym zgóry miejscu. Podział następuje po ukończeniu roboty. Biada małpie, któraby „po drodze" owoc skradła, lub nie pracowała pilnie i ochoczo! Bolesne spotkają ją cięgi!



— *Cożeś zrobił najlepszego, łajdaku?!..*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA



ZNACZENIE WYRAZÓW

Wyrazy pionowe:

1. Rodzaj statku.
2. Oprawa.
3. Obecnie.
5. Ociosane drzewa.
6. Zakomunikowanie.
7. Los.
9. Ustalenie wartości.
10. Zasłona.
11. Napomnienia.
15. Postać z mitologji.
17. Lasy.
18. Uszkodzenie ciała.
20. Przysmak wielkanocny.
21. Pociski.

Wyrazy poziome:

1. Poręcz.
3. Portfel.
4. Plan graficzny.
6. Za chwilę.
8. Przeciwna prawej.
10. Części nóg.
12. Imię żeńskie.
13. Statki pewnego typu.
14. Kontuzjowany, skaleczony.
16. Firmament.
18. Słuszne zdanie.
19. Zwierzę zimnokrwiste.
21. Zwierzę.
22. Części roślin.

SZARADA AKTUALNA

W balowej sali tłumy..... świateł **szósta-czwarta**
Blask rozsiewa dokoła, skrzy w luster krysztale;
Pod ścianą—czarnych fraków grupa stoi zwarta—
Przed niemi par tańczących wciąż kłębią się fale...
Choć często **trzeci-drudzy**—nie olbrzymy duchem,
Że czyny spełnią wielkie — niejeden w to wierzy;
Zwyciężać serca istot, co „marnym są puchem"—
Oto jest głównym celem „salonu rycerzy"!
Pięknych kobiet postacie, jako barwne ptaki
Migają w wirze tańca, woń perfum je goni...
Do **pierwszego-szóstego** doprowadza „fraki" —
Ich spojrzenie, szept, uśmiech, białej uścisk dłoni.
Niech **czwarta-piąta** życia — gdy żeglarze śmiali —
Płynie bystro, uczucie niech jak ogień płonie,
Atmosferą balowej upijmy się sali,
W niepamięci niech troska codzienna utonie!
Noc za nocą niech huczne wypełnią nam bale,
Nechaj taniec wszechwładny króluje dziś wszędzie,
A na smutne refleksje i na gorzkie żale —
Gdy już **całe przeminą** — dosyć czasu będzie!
J. Modrzejewski.

NAGRODY I ROZWIĄZANIA

Nazwiska nagrodzonych za rozwiązanie zadań N-rów poprzednich będą ogłoszone w N-rze następnym.

KONKURS ROZWIĄZAŃ

W następnym N-rze zostaną ogłoszone warunki konkursu na rozwiązanie zadań.

NAGRODY

Za rozwiązanie każdego z zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania po 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 18 lutego.

TO TAMTO I OWO

„BURSZTYNOWE MUZEUM".

Jeszcze starożytni Rzymianie cenili nadzwyczajnie te kawałki bursztynu, w których znajdowały się zmumifikowane muszki, komary, mrówki i t. p. Pliňjusz młodszy poucza nas, że istnieli fałszerze tych osobliwości, którzy roztapiali zwykły bursztyn, aby umieścić w nim nawet jaszczurki i węże, że tego rodzaju sztucznie wytworzone okazy osiągały bardzo wysokie ceny.

Dzisiaj te dziwne kawałki skamieniałej żywicy o barwie pięknego miodu, zawierające w sobie różne drobne stworzonka oraz kawałki mchu, są dla nas nie mniej wartościowe, tylko że doniosłość mają ich walory naukowe nie zaś dekoracyjne, lecznicze lub magiczne.

Według dr. A. von Bachofen'a, członka Paleobiologicznego Instytutu przy uniwersytecie wiedeńskim, narodziny bursztynu odbywały się w najwcześniejszych epokach Trzeciorzędu, czyli wówczas, gdy przodkami naszych ssaków były jeszcze bardzo małe i prymitywne formy zwierzęce. W rejonie dzisiejszego Bałtyku panował wtedy klimat tropikalny, a z wielkich drzew iglastych (Pinus i Picea) wydzielała się w nadzwyczajnych ilościach żywica i padając grubemi kroplami na ziemię lub do wody kamieniała później powoli. Zwierzęta, które w niej ugrzęzły zachowały się aż po dzień dzisiejszy.

Przeważają oczywiście owady. Dotychczas odkryto w bursztynie 5000 rodzajów. Dzięki preparatom bursztynowym dowiadujemy się, że w owych czasach świat owadów był bardzo bogaty i że prócz gatunków, żyjących dzisiaj istniało jeszcze bardzo wiele innych. Okazy te są zachowane świetnie. Widać najdrobniejsze szczegóły. Nie zawsze lecz często zakonserwowały się dobrze w całej swej świeżości i barwy. Bez trudu można się zachwycać wspaniałą zieleniа pancerzy pradawnych żuków, purpurą i różnobarwnemi plamkami na odwłokach rozmaitych muszek.

Również i cząsteczki, a czasem i duże kawałki, roślin przetrwały w dobrym stanie. Dzięki temu może uczony dowiadywać się czem się ówczesne owady żywiły i jaki był wygląd owych tajemniczych bursztynowych borów. Dzięki rozwiniętej obecnie wielce mikrofotografji można stworzyć wspaniałe archiwum do badań porównawczych.

Jednem słowem, kochana matka przyroda stworzyła na słowiańskim brzegu naszego morza wspaniało i tem cenniejsze, że... bursztynowe muzeum.

Dr. E. S.

NIESAMOWITY POŁÓW.

Według doniesień z Neapolu, włoscy rybacy z wioski Baia wyłowili z morza zwłoki dwuch mężczyzn w stanie silnego rozkładu. Trupy ukryte były pod stosami ryb i miały na sobie ubrania lotników i skórzane hełmy na głowie. Przypuszczalnie są to cudzoziemscy lotnicy, którzy ulegli katastrofie w pobliżu włoskiego wybrzeża. Policja czyni starania celem rozpoznania nieszczęśliwych.

„CHOROBA POWIETRZNA".

Tak zwana choroba powietrzna jest równie nieprzyjemna, jak choroba morska i sposoby usuwania jej należą do najważniejszych problematów żeglugi powietrznej.

Instytucja „Daniel Guggenheim Fund" w Ameryce, celem której jest propaganda podróży powietrznych wśród szerokich mas, zwróciła się w powyższej sprawie do specjalistów z krajów o rozwiniętem lotnictwie, a więc do Francji, Niemiec, Anglji i Włoch, nie pomijając naturalnie powag amerykańskich.

Rezultat tej ankiety jest obecnie ogłoszony drukiem przez wspomnianą instytucję.

Ankieta stwierdza, że powszechnie choroba powietrzna, tak zresztą jak i morska, jest przypisywana w pierwszej linji działaniu przyśpieszonego ruchu na labirynt ucha, jakkolwiek istota tego zjawiska nie jest dokładnie poznaną.

KSIĄŻKI ZE STALI.

Wielki uczony, Edisson, oświadczył na bankiecie, wydanym na jego cześć przez przedstawicieli przemysłu papierniczego, że niebawem będziemy mieli książki ze stali. „Technika fabrykacji stali, rzekł Edisson, tak się ostatnio rozwinęła, że przewiduję możliwość drukowania książek na cienkich płytkach stalowych. Wydanie zawierające cztery tysiące kart będzie miało 2 palce grubości i ważyć będzie mniej niż 500 gramów." Sądzimy, że współbiesiadnicy po sutej uczcie nie lekko strawili to rewelacyjne oświadczenie amerykańskiego uczonego.

JASNOWIDZĄCA DOPOMAGA DO WYKRYCIA ZBRODNI.

Niemiecka policja kryminalna natrafiła w tych dniach na ślady zbrodni dokonanej w 1919 roku. W miejscowości Gürmansheide znikła w niewytłumaczony sposób pewna 21-letnia dziewczyna. Po bezowocnych usiłowaniach policja zaprzestała poszukiwań. Jednakże rodzina zaginionej prowadziła w dalszym ciągu dochodzenia i zwróciła się z tą sprawą do znanego medjum. Jasnowidzaca oświadczyła, że w pobliżu miasta, obok przepływającego strumienia widzi ślady zaginionej, zaś przy korzeniach drzewa czaszkę ludzką. Udano się na wskazane miejsce i rzeczywiście znaleziono kości ludzkie, zaś po niejakim czasie, podczas polowania, zauważono przy podmytych przez wodę korzeniach drzewa czaszkę ludzką. Badania lekarskie ustaliły, że są to szczątki szkieletu 20-letniej kobiety, które przeleżały 20 lat w ziemi. W ten sposób więc okazało się, że orzeczenie jasnowidzacej, której z początku nie chciano nawet dać posłuchu, było trafne. Policja podjęła na nowo badania w tej zagadkowej sprawie.

SPRZEDAŻ CENNYCH ZBIORÓW ANGIELSKIEGO ARYSTOKRATY.

Donoszą z Londynu, że książę Richmond, posiadacz największych włości w Anglji, sprzedaje część swoich bezcennych zbiorów, by mieć możność opłacenia wyznaczonych mu podatków. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o sprzedaż obrazów i książek z jego szkockiej posiadłości Gordon. Między innemi przeznaczone są na sprzedaż obrazy mistrzów tej miary, co Van Dyck, Romney, Gainsborough, Raynolds i 2 obrazy Canaletta, znajdujące się obecnie na wystawie sztuki włoskiej w Londynie.

KLUB TRZYNASTKI.

Klubowi trzynastki w Londynie ubył jeden z jej członków. Klub ten składa się z londyńczyków bądź mało przesądnych, bądź też chcących za takich uchodzić. Członkowie tego klubu załatwiają trzynastego dnia miesiąca wszelkie swoje sprawy; trzynastego żenią się, płacą lub nie płacą rachunków swoim krawcom, wyruszają w podróż i t. d.

Ostatnio umarł jeden z członków tego klubu, nie trzynastego zresztą, i teraz zachodzi potrzeba wyboru nowego członka. Chętnych jest mnóstwo. Należy nadmienić, że wszyscy członkowie tego klubu brali udział w wojnie światowej i wszyscy powrócili żywi i cali.

Wśród książek

Wacław Sieroszewski — Pan Twardost Twardowski — Czarnoksiężnik Polski — Powieść historyczna — Warszawa — Instytut wydawniczy Bibljoteka Polska". — 2 tomy. Tom. 1: str. 335, Tom 2: str. 357.

Tadeusz Kudliński — Smak świata — Powieść biograficzna — Warszawa — 1930 — Dom książki polskiej, s. a. — Str. 244 + 4 nlb.

Tadeusz Kudliński jest autorem zdolnym i wytrwałym. Talentu swego nie oddał na usługi niczyich wpływów, i właśnie dlatego jest tak interesujący, że jest samodzielny i oryginalny. Jego powieść wojenna, oparta prawdopodobnie w znacznej mierze na materjale autobiograficznym, w niczem nie przypomina słynnych powieści niemieckich i czeskich, i przez swe zupełnie swoiste ujęcie tematu zasługuje na baczną uwagę. Sprawy zazwyczaj „bohaterskie" są tu sprowadzone do zwykłych i codziennych, lecz wniknięcie w dusze bohaterów jest znacznie poważniejsze i głębsze, niż choćby u tak poczytnego Remarque'a.

Piękny pozbawiony nieznośnej rzewności i niepotrzebnej tkliwości liryzm autora, przesyca opowiadanie dziwnie łagodnem światłem i czyni je nietylko zajmującem, ale i wzruszającem. Podkreślić także należy spokój, z jakim autor opisuje rzeczy zdarzenia i sprawy, które przecież nieszczęściem krzyczą i pachną krwią. Ten spokój i poważny umiar czynią na czytelniku — po brutalnej i często chamskiej grozie niemieckiej — bardzo dobre i korzystne wrażenie.

Nie wiem, czy „Smak świata" stanie się książką równie poczytną, jak obce powieści, ale niewątpliwie w zupełności na to zasługuje.

Wiktor Przecławski.

Oryginalna postać „Mistrza Twardowskiego", „polskiego Fausta", pociągała u nas wielu mistrzów pióra. Znany był swego czasu natchniony poemat L. Staffa („Mistrz Twardowski, pięć śpiewów o czynie"), pamiętamy wszyscy popularną opowieść Lucjana Rydla, a pomniejszych fragmentów, opowieści i bajek chyba nikt nie zliczy. A jednak polski Faust pozostał nadal postacią zupełnie tajemniczą, i, jeśli tak można powiedzieć, nie osiągnął w literaturze naszej wyżyn Faustowskich.

Historyczna opowieść Wacława Sieroszewskiego, barwna i zajmująca, pełna historycznych i wymyślonych postaci, chwilami bardzo żywa i prawdziwa, oparta niewątpliwie na cierpliwych i długich badaniach, przecież nie porywa. Stosunek autora do bohatera, mimo wszystko, wydaje się niejasnym. Twardowski, palony żądzą wiedzy i poznania, Twardowski, ulegający bardzo łatwo przyziemnym pokusom, które mu linję życia psują i wielką słabość woli zdradzają, robi chwilami wrażenie postaci wprawdzie zagadkowej i ciekawej, ale jakgdyby z różnych ciał i dusz splecionej Być może, że szlachcic polski, żądzą wiedzy opętany, takim był nawet, lecz początek opowieści dawał nam inne nadzieje.

W każdym razie „Pan Twardowski" jest zgoła nieprzeciętną powieścią historyczną i w wspaniałym dorobku Sieroszewskiego miejsce nie ostatnie zajmie. Dola i niedola „mistrza" zaciekawia czytelnika od pierwszej do ostatniej strony, zdarza się nawet, że ciekawość ta przerasta zwykłą miarę. Tło historyczne namalowane suto, jasno i prosto, a jednak żywo i barwnie.

W dzisiejszej powodzi dancingowo-kryminalnej literatury pojawienie się „Pana Twardowskiego" powitać należy z wielką radością i z wielką dla autora wdzięcznością.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

M.

MATKA.

Każda matka, której syn popełnił mezaljans, lub córka powraca zbyt późno do domu w nocy, i która uważa się z tego powodu za bardzo nieszczęśliwą powinna stanowczo chodzić jaknajczęściej do kina a patrząc na los matek z ekranu znajdzie napewno w tem pokrzepienie i zrozumie, że los jej jest jeszcze godny zazdrości.

Jakże bowiem ciężkie koleje przechodzi zawsze matka w filmie. Reżyser poskąpił jej młodości i urody i oto matka jest bardzo stara (nawet wówczas gdy karmi własną piersią najmłodsze niemowlę). Twarz ma pokrytą licznemi zmarszczkami i troską. Kosmyki nigdy nieondulowanych włosów opadają na wpadnięte od wylanych łez, oczy.

Matka miewa dużo dzieci. Wszystkie one odznaczają się upartą niewdzięcznością, wszystkie po kolei krzywdzą matkę jak mogą.

Matka przyjmuje wszystko z rezygnacją. Spokojnie patrzy jak jej najstarszy syn wykrada pieniądze z kasy, jak najmłodsza córka uwodzi jej starego przyjaciela domu. Z gestem rezygnacji pozwala średniej córce wyjść za mąż za znanego szulera i ograbić się ze stylowych mebli przez nich.

Jeżeli przypadkiem jakieś dziecko jest udane i kocha matkę miłością bez granic, wówczas porywa je śmierć okrutna, albo złośliwy wypadek wtrąca je do więzienia. Matka pozostaje samotna, matka spędza dni na gorzkich rozmyślaniach o przestępstwach swych dzieci, lub na słodkich wspomnieniach tych dni gdy wtykała kromki chleba z konfiturami w ich brudne rączęta.

Matka stacza się co raz niżej. Jej dzieci otoczone są zbytkiem, ona zaś zostaje posługaczka. Potem zaś, zależnie od narodowości, matka albo ginie powolną śmiercią na nędznym barłogu, wyciągając wyschnięte z głodu ręce do cieni niewdzięcznych dzieci, albo też, w Ameryce niesłusznie skazany syn powraca z więzienia i kupuje jej mały domek otoczony grządkami polnych kwiatów oraz otacza ją miłością.



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski. 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.